Cena egzemplarza

w W.Brytanii 6 d.
w Belgii 5 fr. b.
we Francji 10 fr. fr.
w Szwajcarii 0,40 fr.szw.
w Szwecji 60 öre
we Włoszech 30 lir

Warunki prenumeraty oraz adresy redakcji i administracji na str. 6.

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Wtorek 11 marca 1947 r. Nr 10 (244)

W NUMERZE

SIGMA — Kłopoty kolonialne Holandii
J. PR. — O co chodzi?
* * * — Rezolucja Rady Kongresu Polonii Amerykańskiej
Inż A. GAĆ — Postęp w świecie techniki
ZBIG. FLORCZAK — „Krauzowie i inni"
ST. WESTFAL — A. TOMICKI — Słusznie nie gęsi...
A. H. — O przyszłość naszych dzieci
* * * — Uniwersytet D. P. w Monachium
ALICJA D. — Malarstwo hiszpańskie w Londynie
AL. JANTA — Podsłuch (3)
A. D. — Warunki bytu Polaków w W. Brytanii
WACŁAW SOLSKI Cyklotrony i polityka zagraniczna

Podział świata między Ameryką i Rosją

W przededniu konferencji moskiewskiej zdarzył się wypadek, który rzucił nowe światło na przedzjazdowe manewry dyplomacji sowieckiej. Oto sekretarz stanu gen. Marshall oznajmił, że rząd sowiecki zgodził się, by Stany Zjednoczone już obecnie objęły powiernictwo (w imieniu Narodów Zjednoczonych) nad dawnymi mandatami Ligi Narodów na Pacyfiku, sprawowanymi przez Japonię. Chodzi tu o wyspy, które należały przed rokiem 1914 do Niemiec — wyspy Mariańskie, Karoliny i Marshalla. — Cesarstwo japońskie nadało wyspom charakter potężnych baz strategicznych.

Obecnie St. Zjednoczone postanowiły, nie czekając na zawarcie pokoju z Japonią, zażądać od Rady Bezpieczeństwa ONZ powierzenia im powiernictwa nad powyższymi archipelagami, z tym, że byłyby one objęte postanowieniami statutu ONZ o obszarach strategicznych. Wniosek ten wszakże napotykał na opory innych mocarstw. Była mu przeciwna Rosja Sowiecka. Zgłaszały zastrzeżenia formalne W. Brytania i Australia, wychodząc z założenia, że przed zawarciem pokoju z Japonią trudno pobierać decyzje dotyczące jej dawnego stanu posiadania.

Nagle Rosja Sowiecka zmieniła zdanie, oświadczając, że uważa żądanie Stanów Zjednoczonych za słuszne. Ciekawsze od tego sensacyjnego zwrotu było jego uzasadnienie. Mianowicie Moskwa postarała się o rozpowszechnienie jej poglądu zasadniczego, że skoro Stany Zjednoczone zdobyły powyższe wyspy własnym wysiłkiem wojennym i ponosiły na Pacyfiku „nieporównanie większe ofiary" niż inne mocarstwa, słusznie im się te ziemie należą.

Nie ulega wątpliwości, że takie postawienie sprawy było zrobione celowo i miało głębsze znaczenie. Korespondent „Timesa" w Waszyngtonie wyrażał przypuszczenie, że Rosja Sowiecka pragnęła w ten sposób uniknąć możliwości wysunięcia zagadnienia jej prawnych tytułów do wysp Kurylskich, które prezydent Roosevelt obiecał jej w Jałcie zanim nawet przystąpiła do wojny z Japonią. Inni twierdzą, że realizm Moskwy wyraża się tu w chęci uniknięcia sporu o wyspy, które Stany Zjednoczone i tak już posiadają i z których żadna siła dziś ich nie usunie. Wiemy jednak, że delegaci sowieccy potrafią prowadzić długie spory pryncypialne, a dziś np. domagają się zniszczenia amerykańskiego zapasu bomb atomowych, aczkolwiek nie mogą się spodziewać, by Stany Zjednoczone popełniły na ślepo takie szaleństwo.

Wydaje się więc, że cała sprawa ma tło znacznie głębsze. Zwrócić należałoby tu uwagę na niedawny artykuł ogłoszony w „Prawdzie" z okazji 29 rocznicy utworzenia armi czerwonej. Artykuł rozważał tezę, że wojna w Europie wygrana została przede wszystkim przez armię sowiecką i że udział innych sprzymierzonych w walkach na naszym kontynencie nie był istotny. „Armie sprzymierzeńców (zachodnich) — pisała „Prawda" — lądowały w Europie dopiero wówczas, gdy wojna weszła w fazę końcową... Anglo - amerykańskie wojska zaczęły inwazję zachodniej Europy dopiero wtedy, gdy stało się oczywiste, że armia sowiecka jest zdolna doprowadzić do końca zniszczenie nazistowskiej maszyny wojennej zająć całe Niemcy i sama uwolnić Francję bez pomocy sprzymierzonych".

Jeżeli teraz zestawić tezę sowiecką, uzasadniającą prawa Stanów Zjednoczonych do dawnych mandatów Japonii z tytułu zdobycia ich własnymi siłami, ze zdumiewającymi wywodami „Prawdy" wówczas okaże się, że Rosja sowiecka może rościć sobie wyłączne prawo nie tylko do tego, co zdobyła i zajęła w Europie, ale do całej Europy, nie wyłączając Francji. W każdym razie nie można wymagać od niej, by ustąpiła z ziem, na których stoi i stoi żołnierz sowiecki.

Jest to pierwszy wniosek, który wysnuć można ze stanowiska Moskwy wobec żądań amerykańskich na Pacyfiku. Ale na tym nie kończą się możliwości interpretacji. Nie trudno odkryć w tym nowym manewrze sowieckim propozycji, skierowanej pod adresem Waszyngtonu, podzielenia się nie tylko łupami wojennymi, ale nawet kulą ziemską.

Moskwa zawsze była zwolenniczką imperialistycznego stylu w polityce międzynarodowej. Nieraz już występowała z sugestią podzielenia się przez wielkie mocarstwa obszarami światowymi. Układ Ribbentrop — Mołotow z r. 1939, dotyczący rozbioru Polski i państw bałtyckich, był pierwszym tego wyrazem. Rosja Sowiecka stała wówczas wyraźnie na gruncie podzielenia się Europą z Niemcami. Dla siebie zastrzegła Wschód, Niemcom oddała Zachód, widząc chętnie skierowanie się wysiłku wojennego Hitlera przeciw Anglii. Jeżeli w końcu jednak doszło do wojny niemiecko — rosyjskiej to dlatego, że hitlerowcy i bolszewicy nie mogli się pogodzić co do linii podziału ich stref na Bałkanach i w Europie. Rozłam stał się widoczny po wizycie Mołotowa jesienią 1940 r. w Berlinie, kiedy przerost ambicji obu stron ujawnił się dość wyraźnie. Nie żadne w każdym razie rozdźwięki ideologiczne, ale zderzenie się dwóch brutalnych imperializmów, niezdolnych wykreślić sobie wspólnej linii granicznej, było przyczyną wybuchu wojny z czerwca 1941 r.

Dzisiejsze sugestie wysuwane przez Moskwę pochodzą z tego samego źródła typowo imperialistycznej i reakcyjnej polityki. Należy zresztą pamiętać, że styl tej polityki wyraża się w wielu innych posunięciach. Jak wiadomo, Rosja jest w zasadzie główną zwolenniczką dyktatury trzech wielkich mocarstw, ona to broni najzaciekiej prawa veta wielkich mocarstw w łonie O.N.Z., z jej strony wychodzą gwałtowne opory przeciw rozszerzaniu praw mniejszych narodów przy układaniu traktatów pokojowych. I ona w toku wojny występowała głównie z projektami ustanowienia „stref wpływów" na świecie. Na linii tej też polityki znajdowała się myśl podzielenia się częściami Imperium Brytyjskiego przez dwa największe mocarstwa: Rosję i Stany Zjednoczone. Niektóre koła amerykańskie niedwuznacznie ulegały w czasie wojny tym podszeptom.

Dzisiejsza sugestia Moskwy pod adresem Waszyngtonu brzmi jak następuje: „Jesteśmy jedynymi, równorzędnymi mocarstwami. Zamiast się kłócić, podzielmy się światem. Na razie niech każdy z nas zatrzyma to, co posiada. Reszta zaś świata dzielić się będziemy stopniowo na podstawie naszego każdorazowego porozumienia".

To co w stosunku do Europy proponowano Niemcom hitlerowskim, w stosunku do kuli ziemskiej proponuje się dziś Stanom Zjednoczonym. Zapowiedź opuszczenia przez wojska sowieckie portu Dairen w Chinach ma być miłym zadatkiem tej polityki.

Nie są to nasze tylko przypuszczenia. Podobne domysły wysuwa w prasie szwajcarskiej, znany dziennik „Basler Nachrichten", tak również rozumie politykę sowiecką p. Lippmann, główny wykładnik prasowy polityki amerykańskiej. Łączy on zresztą ostatnie posunięcia dyplomacji sowieckiej w sprawie stanu posiadania na Pacyfiku z zagadnieniem tego co nazywa „schyłkiem Brytyjskiego Imperium w Azji". Stwierdza on, że osłabienie Anglii wytwarza „próżnię, w którą wejdzie Związek Sowiecki". Lippmann zastanawia się, czy najwłaściwszym sposobem zapobiegnięcia temu są „próby zapełnienia próżni przez udzielanie poparcia różnym rządom na pograniczu Związku Sowieckiego". Być może, jest to, jak twierdzi Lippmann, jedyna droga, ale przedstawia ona, jego zdaniem, ogromne trudności. Jest i droga inna. Jaka?

„Droga inna — pisze Lippmann — polegałaby na bezpośrednim ułożeniu się z Moskwą co do ogólnego zagadnienia, czy nielad i rozbicie w Europie, na Środkowym Wschodzie, w Indiach i Chinach mają być wykorzystywane, czy też opanowane i uregulowane przez układ. Próżnia istnieje. Będzie tej próżni jeszcze więcej. Albo Rosja i Ameryka rozpoczną walkę dyplomatyczną o światowym zasięgu, walkę o wpływy i władzę w tej próżni, albo zgodzą się, że może nastąpić równowaga sił, która je dobrowolnie ograniczy".

Zdaniem Lippmanna, porozumienie amerykańsko - sowieckie może mieć nie tylko „szczęśliwe" następstwa w Palestynie, na Śr. Wschodzie, w Chinach i w Indiach, ale może się również wyrazić w układzie co do Niemiec łącznie z powstaniem „jakiegoś europejskiego systemu".

„Istnieje więcej możliwości, tak mi się wydaje — pisze Lippmann — w powstaniu bezpośredniej równowagi między Rosją i Ameryką, niż w jakiejkolwiek innej równowadze, która byłaby oparta na pośrednich interwencjach na wszystkich słabych punktach".

„Być może, że stanowisko, jakie Rosjanie zajęli w stosunku do mandatów japońskich na Pacyfiku, jest częściowo wywołane ich własnym pragnieniem uznania ich podbojów w Europie. Lecz jednocześnie wskazuje na rodzaj porozumienia, które rząd sowiecki gotów by przyjąć. Jest to oczywiście argument siły oraz polityki dyplomatycznej, dostosowanej do obecnego układu".

Tyle p. Lippmann. Nie zamierzamy przywiązywać do jego wywodów wagi, której może nie posiadają, aczkolwiek jest to publicysta doskonale poinformowany. Jasne jest jednak, że Stany Zjednoczone stanęły obecnie na rozstaju dróg.

Albo polityka ich opierać się będzie istotnie na Organizacji Narodów Zjednoczonych i dążyć będzie do przywództwa moralnego i politycznego nad światem w oparciu o wolne narody, o prawo międzynarodowe oraz o pewien niezbędny styl moralny w stosunkach między państwami.

Albo też polityka amerykańska stanie się wyłącznie polityką egoistycznej siły, liczącej się tylko z siłą usuwającej z areny słabszych i prowadzącej w praktyce do podzielenia się kulą ziemską z następnym z kolei gigantem — Rosją.

Oczywiście jak nieraz w polityce, Waszyngton może wybrać jakąś drogę pośrednią, ale te dwa zasadnicze kierunki pozostaną przed nim wciąż do wyboru. Nie potrzeba zaznaczać, jak wiele będzie zależało od decyzji, jaka ostatecznie zapadnie w Waszyngtonie.

Jedno jest pewne: w pierwszym wypadku Stany Zjednoczone będą miały cały wolny świat za sobą, w drugim pozostaną w końcu oko w oko ze swym wielkim współzawodnikiem tak, jak... Hitler w roku 1941. Jego realizm polityczny, jego kult materialnej siły, jego pogarda dla słabszych okazały się w końcu złudą, tragicznie dla niego zakończoną. Amerykanie chełpią się zaś, że świadomość rzeczywistości jest im wrodzona.

Jest jeszcze jeden wniosek, który tu ciśnie się niemal już na marginesie: dalsze osłabianie Imperium Brytyjskiego może grozić istotnie najgorszymi następstwami.

RP.

OBAWY O FRANCJĘ

A. TOMICKI

Francja grała w ostatnich wiekach zbyt wielką rolę w rozwoju kultury i cywilizacji, ażeby los jej mógł być obojętny dla jakiegokolwiek narodu i państwa. Wpływ kultury francuskiej w ostatnich zwłaszcza dwóch a nawet i trzech wiekach zaznaczył się niezwykle silnie we wszystkich krajach. Nawet narody, z którymi Francja politycznie walczyła, ulegały temu wpływowi. Wszystkie narody mają wskutek tego w stosunku do Francji nie tylko dług wdzięczności, ale zachowały dla niej duży zapas poważania i uznania. Imię Francja ma w świecie znaczenie, oparte na ogromnym kapitale nagromadzonym w przeszłości. Uwidoczniło się to między innymi w licznych powiedzeniach mężów stanu anglosaskich, którzy podkreślali że bez Francji nie wyobrażają sobie Europy.

Posąg Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu wystawiony na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem

Tym większym niepokojem napełniają wszystkich przyjaciół Francji stosunki, które w niej panują i to niestety nie od dzisiaj. Już właściwie wiek dziewiętnasty wykazywał wyraźne znamiona wycofywania się Francji z przemożnej roli, którą grała ona jeszcze w wieku osiemnastym, a której ostatnią wielką epopeą był okres napoleoński. Niesłychany wysiłek dokonany na miarę światową w tym okresie, pozostawił w organiźmie francuskim trwałe ślady wyczerpania. Już niezwykle ostrożna polityka francuska za czasów Ludwika Filipa zdradza pierwsze widoczne objawy osłabienia prężności i siły polityki francuskiej. Próby Napoleona III, ażeby znowu silniejszą stopą wkroczyć na arenę światową, skończyły się niepowodzeniem i klęską w roku 1871. Polityka Napoleona III nie miała już bowiem tej podstawy, którą zastał jeszcze Napoleon I., i którą zużył zbyt dokładnie.

Po roku 1871 nastąpił długi okres pokoju w Europie. W tym okresie Francja na zewnątrz w dużej mierze odzyskała swoje stanowisko, jednak nie tyle dzięki prężności narastającej siły, ile właśnie dzięki temu że spokój w Europie nie wymagał długotrwałego napięcia energii. W tym czasie Francja zdołała nawet rozbudować swoje imperium kolonialne. Ale uważne zbadanie przebiegu tej budowy wykazuje, że stworzone ono zostało nie tyle dzięki naporowi całego narodu i polityki państwa, ile dzięki energii i wysiłkowi wybitnych jednostek, które zawsze jeszcze naród francuski ze siebie wydawał. Te jednostki jednak napotykały raczej na trudności w kierowaniu polityki państwa na drogi w ten sposób otwierane. Polityka urzędowa raczej zatwierdzała tylko, i to już nieraz z wahaniami, wyniki osiągnięte bez jej inicjatywy.

Na wewnątrz rozwój stosunków w Trzeciej Republice wykazywał coraz więcej objawów niepokojących — aczkolwiek, jeżeli chodzi o twórczość w dziedzinie kultury, wkład narodu francuskiego był zawsze jeszcze zadziwiająco wielki a często przodujący, podtrzymując na całym świecie nadal sławę i znaczenie imienia francuskiego.

W wojnie 1914 — 1918 naród francuski potrafił zdobyć się na ogromny wysiłek. Nie był to jednak już wysiłek prężności wylewającej się na zewnątrz, ale wysiłek obronny. Ten wysiłek okupiony został olbrzymimi ofiarami. Ktokolwiek miał sposobność zwiedzenia nie tylko wielkich miast albo miejsc wycieczkowych, ale zwykłych małych miejscowości francuskich, ten, stając przed pomnikami poległych, wzniesionych w najmniejszych wioskach, licząc nazwiska i porównując tak osiągniętą cyfrę z liczbą mieszkańców, z przerażeniem stwierdzał naocznie, a nie tylko na postawie suchej statystyki, jak olbrzymi ubytek najlepszej młodej krwi wojna Francję kosztowała.

Organizm pozornie jeszcze kwitnący, ale już osłabiony ubytek ten odczuć musiał podwójnie. Okres po 1918 roku aż do roku 1939 zaznaczył się też przyspieszonym okresem wyczerpania i osłabienia Francji. Zwycięstwo osiągnięte w 1918 w wielu oczach, i to zwłaszcza w oczach Francuzów samych, przesłaniało istotę tego procesu. Jednak widziano i rozpoznawano go gdzieindziej. Stwierdzał go z wstrętną radością Hitler, wciągając go w swoje rachuby, z największą troską widziały go również narody nie tylko z Francją zaprzyjaźnione, ale sprzymierzone, jak np. Polska, która widząc objawy osłabienia prężności i siły polityki francuskiej w terenie międzynarodowym, zmuszona została wskutek tego do prowadzenia polityki takiej, której w innych warunkach nigdy by nie była prowadziła. Pisaliśmy o tym jesienią w osobnym artykule, poświęconym polskiej polityce zagranicznej przed wojną.

Obawy, które żywili przyjaciele i sprzymierzeńcy Francji już dawno przed rokiem 1939, widząc wyraźne dążenie polityki francuskiej do wycofania się z wszelkich dalej sięgających zobowiązań i ograniczenia się do polityki już nawet nie europejskiej, ale do polityki obrony najbardziej tylko koniecznych bezpośrednich interesów, spełniły się niestety podczas wojny, wywołanej napaścią Hitlera w roku 1939. Francja nie zdołała przeciwstawić napaści niemieckiej tej siły, którą jeszcze potrafiła wydobyć z siebie w latach 1914 — 1918. Nie wydobyła ze siebie ani tej siły materialnej ani też nawet tej siły moralnej i psychicznej, jak tego dowiodła historia polityki rządów w Vichy. Bo polityka Vichy nie była tylko próbą przetrzymania i ochrony sił, jak to usiłowali przedstawić później ci, którzy ją prowadzili. Była ona w dużej mierze właśnie wyrazem prawdziwego i zupełnego wyrzeczenia się samodzielnej i poważnej roli Francji w świecie, była wyrazem załamania się części narodu francuskiego.

Tym też tłumaczy się nieprzejednane stanowisko zajęte wobec Vichy przez te odłamy narodu francuskiego, z generałem de Gaulle na czele, w których zebrało się to wszystko, co w narodzie francuskim było zawsze jeszcze zdrowe i żywotne. Dzięki tym odłamom właśnie i ich wspaniałej postawie naród i państwo francuskie — mimo Vichy, — opierając się poza tym na zawsze jeszcze ogromnym kapitale znaczenia Francji, nagromadzonym w przeszłości, zdołały z powrotem — w każdym razie formalnie — wejść na arenę polityki światowej. Dzięki nim zawsze jeszcze przedstawiciel Francji zasiada w grupie czterech wielkich mocarstw na konferencjach, mających ułożyć nowy stan rzeczy na świecie. Ale stanowisko jego nie jest już takie, jakim było kiedyś, a zdarzają się konferencje i postanowienia, które zapadają już bez udziału Francji.

Niestety rozwój stosunków wewnętrznych we Francji nie wykazuje nadal takich znamion odrodzenia, jakiego by sobie życzyli wszyscy jej przyjaciele i jaki leży w największym interesie Europy i świata. Nie będziemy tutaj tego stanu rzeczy charakteryzować szczegółowo, bo zbyt jest on już głośny i wiadomy. Fale strajków najrozmaitszego rodzaju, i to właśnie w warstwach, które zdawałoby się najlepiej powinny rozumieć o co chodzi, jak n.p. strajki urzędnicze i prasowe, rozstrój polityczny i gospodarczy, a także pod wielu względami rozstrój psychiczny, napełniają największym niepokojem tych wszystkich, którzy nie tylko z szczerej przyjaźni, ale po prostu w interesie własnym pragnęliby widzieć Francję silną, mocną i mogącą znowu grać rolę poważnego czynnika w polityce światowej. Dzisiaj — powiedzmy to otwarcie — rola ta jest nikła.

A tymczasem usunięcie się czynnika francuskiego z gry rzeczywistych sił międzynarodowych wytwarza w świecie, a zwłaszcza w Europie, próżnię najbardziej niebezpieczną. Któż bowiem i co zostaje w Europie, skoro Francja przestaje być poważną siłą polityczną? W dzisiejszych warunkach po prostu nic. Polska oddana pod władanie Rosji, Niemcy rozbite i jako ponowny czynnik siły po tylu doświadczeniach w najwyższym stopniu niepożądany z powodu niebezpieczeństwa, jakim grozi światu każde ich okrzepnięcie, Włochy rozbite również i zresztą nawet już przed wojną nie nadające się do utworzenia trzonu, na którym mógłby się wydatnie oprzeć układ sił w Europie, między innymi chociażby z powodu położenia geograficznego, inne państwa zbyt małe, ażeby mogły być brane pod uwagę — słowem próżnia, w którą wiać się może w każdej chwili fala ze wschodu, nie znajdując należytej przeciwwagi, ani ośrodka krystalizacji i oporu. Takiej przeciwwagi nie może dać pomijając nawet jej obecne trudności również Anglia. Może ona jedynie wydatnie wzmocnić i podeprzeć już istniejący na kontynencie punkt oparcia. Gdy go nie ma, polityka angielska nie ma partnera, z którym mogłaby skutecznie prowadzić politykę przeciwwagi. Jałta i Teheran w znakomity sposób wzmocniły i podkreśliły tę słabość Europy. Jest bowiem wielkim błędem widzieć w Jałcie i Teheranie tylko opuszczenie Polski przez mocarstwa anglosaskie. Jałta i Teheran są czymś znacznie większym. Są one tragedią na miarę światową, oznaczając opuszczenie nie tylko Polski, ale opuszczenie Europy i uniemożliwienie krystalizacji w niej sił, które mogłyby z niej stworzyć czynnik poważny i samodzielny.

Czy Francja zdoła jeszcze wejść na drogę rzeczywistego odrodzenia? To jest dzisiaj pytanie, które stawiają sobie z troską wszyscy poważni politycy, nie wyłączając największych jej przyjaciół. W dziejach narodów bywały wypadki tak niespodziewanych rozwojów, iż bawić się w przepowiednie byłoby rzeczą zbyt śmiałą. Musiałyby jednak w narodzie francuskim zajść zmiany bardzo daleko idące, ażeby można patrzeć w przyszłość z uzasadnionym optymizmem. Niepokoi przede wszystkim fakt, że jak to sami Francuzi stwierdzają, w stosunkach wewnętrznych Francji po początkowym zrywie wyłania się znowu coraz bardziej oblicze Trzeciej Republiki i to na domiar z ostatniego jej okresu. Powracają nawet ci sami ludzie, o kilkanaście lat tylko starsi. Dowód to, że najwidoczniej w nowych warstwach nie ma dostatecznego narybku, który mógłby stworzyć zupełnie nowe kadry i nadać im nowy i niezużyty charakter.

W żadnym dziś państwie komunizm nie jest tak silny jak we Francji. Paraliżuje on jej życie wewnętrzne, paraliżuje politykę zagraniczną i w samym sercu Zachodu staje się ostoją zagrożenia Europy od Wschodu. Znajduje on we Francji podstawy właśnie dlatego, że będąc sam wyrazem i owocem XIX w. nie spotyka w niej dostatecznie żywotnej i kiełkującej nowej siły, która byłaby wyrazem dalszego rozwoju. Działa we Francji ciągle ten sam znany już z okresu Trzeciej Republiki „mistycyzm lewicy", jak go kiedyś określił Maurrac, który działał w niej przez wiek XIX i początek XX bez przerwy. A nie jest to mistycyzm rzeczywistej treści lewicowej, ale już dzisiaj lewicy, że się tak wyrazimy skostniałej i formalnej, lewicy słowa i hasła. Bo przecież komunizm, który między innymi wydatnie przez ten „mistycyzm" działa, jest dzisiaj zarówno jako filozoficzny pogląd na świat, jak też jako system rządzenia najczarniejszą reakcją jaką sobie można w ogóle wyobrazić.

Być może też, że racjonalistyczny charakter doktryny komunistycznej znajduje oddźwięk w racjonalistycznym charakterze umysłu francuskiego, a materializm tej doktryny pożywkę w długoletniej akcji, która w XX wieku podważyła siłę i wpływ religii we Francji. Dzisiaj zawsze jeszcze hasła laickie i antyreligijne są we Francji rodzajem tradycyjnych i nietykalnych dla wielu kół dogmatów, chociaż są one wyrazem przestarzałego już dawno w świecie okresu myśli ludzkiej.

W masach odczuwa się wyraźny brak tej dobrowolnej, a nie przymusowej, dyscypliny moralnej, którą wykazuje n.p. naród angielski. Sprawia to, iż trudności gospodarcze działają rozkładowo, zamiast porwać cały naród do zwartego i zorganizowanego wysiłku. Przyczyniają się do tego rozgrywki partyjne, a nawet personalne w kołach kierujących, grające często rolę dużo większą, niż wzgląd na dobro całości. W tym położeniu praca nad odrodzeniem Francji zarówno politycznym jak i gospodarczym napotyka na niesłychane trudności.

To wszystko i jeszcze wiele innych rzeczy niepokoi w największym stopniu wszystkich szczerych przyjaciół Francji, do których zaliczają się również Polacy. Łączy nas z narodem francuskim dobrze pojęty i trzeźwy interes polityczny, który każe zapomnieć o tym, że nie zawsze wspólność tego interesu była we Francji tak samo dokładnie pojmowana jak w Polsce, łączą nie tylko węzły wspólnej cywilizacji i kultury. Pomijając to wszystko, grają wśród Polaków rolę liczne wspomnienia przeszłości, a pomiędzy nimi nie na ostatnim miejscu gościnność narodu francuskiego udzielana tylu Polakom, zmuszonym uchodzić w ostatnich stukilkudziesięciu latach ze swego kraju, gościnność, której i dzisiaj Francuzi nie zapominają i nie zapominali nawet wtedy, gdy sami jęczeli pod okupacją niemiecką, pomagając w miarę sił i możliwości Polakom, którzy się schronili na ziemi francuskiej. Stąd to wszyscy Polacy, podobnie jak wszyscy dobrzy Europejczycy pragną, ażeby Francja zdołała odegrać jeszcze rolę poważną w rozwoju świata.

Kościół katolicki wobec komunizmu

(t) W ostatnim numerze naszego pisma podaliśmy urywek listu pasterskiego prymasa Belgii kardynała Van Roey, w którym ten Książę Kościoła wystąpił ostro przeciwko sposobom gwałtu i terroru stosowanym wobec religii katolickiej w krajach, znajdujących się pod panowaniem bolszewickim.

„We wszystkich tych krajach ten sam złowieszczy czynnik — brzmią słowa listu pasterskiego — wzbudza i kieruje ten śmiertelnie wrogi stosunek do Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Jest nim bolszewicki komunizm Rosji Sowieckiej."

W numerze dzisiejszy zamieszczamy urywki z przemówienia kardynała Serejeiry, patriarchy Lizbony, wygłoszonego dnia 21 lutego przez radio pt. „Komunizm czy chrześcijaństwo". Przemówienie to piętnuje w takich samych ostrych słowach komunizm, jako wykwit fałszywej filozofii materialistycznej, przeciwny naturze ludzkiej. Podajemy także streszczenie listu parterskiego biskupów szkockich z dnia 26 lutego, poświęconego specjalnie wyborom w Polsce. W liście tym biskupi szkoccy w sposób jasny i niedwuznaczny zwracają się przeciwko „czerwonemu faszyzmowi", narzuconemu Polsce przez Kreml, potępiając bez osłonek sposób przeprowadzenia wyborów w Polsce i domagając się wyborów rzeczywiście wolnych. To co się dzieje za „żelazną kurtyną" i dotychczasowa polityka Rosji „połykającej" systematycznie jedno państwo po drugim wywołuje pytanie zasadnicze sformułowane w następujących słowach:

„Musimy także rozważyć teraz poważnie cel ostateczny sowieckich ambicji terytorialnych."

Głosy wysokich dostojników Kościoła Katolickiego, odzywające się niemal jednocześnie w rozmaitych krajach Europy, posiadają wymowę jasną i są wydarzeniem niezwykle poważnym. Dowodzą one, że Kościół Katolicki nie tylko zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co się dzieje, ale podejmuje rzuconą mu rękawicę. „Barbarzyńskie metody narodowego socjalizmu... zostały zastosowane przez komunistów... Ich zastosowanie samo jest wyzwaniem, rzuconym cywilizacji" — stwierdza prymas Belgii.

Zostały one zastosowane między innymi w Polsce, jak to obszernie stwierdza zwłaszcza list pasterski biskupów szkockich. Nawet ci, którzy nie umieli, a raczej nie chcieli tego widzieć, dowiadują się o tym nie tylko z artykułów dziennikarskich i doniesień poważnych korespondentów zagranicznych, nie tylko z not dyplomatycznych rządów angielskiego i amerykańskiego w sprawie wyborów w Polsce, ale z ust takich, które długo, bardzo nieraz długo, ważą swoje słowa i sąd, zanim je wypowiedzą, świadome swoich moralnych obowiązków wobec Boga i ludzi.

Tym bardziej wielką wagę posiada zarówno treść jak i forma przytoczonych przez nas głosów Książąt Kościoła. Nic tam nie jest powiedziane bez namysłu, nic bez długiego i bezstronnego zbadania, i nic bez świadomości, że słowa potępienia musiały być powiedziane w imię prawdy i sprawiedliwości. W tym spoczywa wielkie ich znaczenie.

Bo w przeciwieństwie do wielu mów mężów stanu i polityków świeckich, oświadczenie Książąt Kościoła nie są posunięciami taktycznymi, które dostosowuje się do chwilowych celów i obliczeń politycznych. Prawda takich taktycznych oświadczeń bywa nieraz względna. Dlatego Kościół tak często ostrożny jest w słowach, dlatego tak długo nieraz czeka, ażeby je wypowiedzieć, świadom tego, że inne mają one znaczenie, niż tyle słów płynących z namiętności politycznej, albo zgoła używanych jako maska. Skoro je jednak wypowie, ich waga i ciężar gatunkowy jest wielki.

Dlatego nikt uczciwy, chociażby nawet nie był katolikiem, nie może przytoczonych oświadczeń Książąt Kościoła pominąć milczeniem, ani w swoim sumieniu, ani też w swoim postępowaniu. Osądzanie tego, co się dzieje za „żelazną kurtyną", osądzanie tego, co się dzieje w Polsce, posiada wymowę, której umniejszyć nie tylko nie wolno, ale i nie można.

Rzecz prosta, dla komunizmu omawiane oświadczenia nie są wygodne. Są one nawet w najwyższym stopniu krępujące. Bo komunizm tam, gdzie nie posiada jeszcze całkowitej władzy, niechętnie odsłania w pełni swoje oblicze, wiedząc, że wielu ludzi, wielu nawet zwolenników, widzących go tylko przez pryzmat fałszywie przedstawianych haseł i słów, odwróciłoby się od niego, gdyby mogli zobaczyć rzeczywistą prawdę. A ta prawda właśnie wyłania się z przytoczonych oświadczeń.

Brytyjska Rodzina Królewska

KŁOPOTY KOLONIALNE HOLANDII

napisał SIGMA

Haga, w lutym

Obserwując rozwój polityki zagranicznej Stanów Zjedn. i Rosji Sowieckiej w ostatnich latach z łatwością można zauważyć, że państwa te poświęcają coraz większą uwagę Południowej i Wschodniej Azji. W związku z tym coraz wyraźniej zaznacza się dążność do zapewnienia sobie panowania nad Oceanem Spokojnym i do zabezpieczenia linii komunikacyjnych prowadzących do Chin. Indie Holenderskie są jedną z kluczowych pozycji w południowej części Pacyfiku i dlatego konfliktu pomiędzy nacjonalistami tamtejszymi i rządem holenderskim wychodzi poza ramy stosunku metropolii do swej kolonii i jest jednym z pierwszych elementów toczącej się w tej części świata rozgrywki.

WZOROWA KOLONIA

Zagospodarowane przez założoną w roku 1608 kompanię Indie Holenderskie stały się podstawą bogactwa Holandii. Do dziś dnia są one jednym z najważniejszych wytwórców towarów kolonialnych, jak kakao, kawa i tytoń. Do tego dołączyła się w ostatnich czasach duża wytwórczość kauczuku i ropy naftowej. Holendrzy zdawali sobie dobrze sprawę z wartości swej kolonii i dołożyli wszelkich wysiłków celem zapewnienia rozumnego jej wyzyskania i sprawnej administracji. Po rządach silnej ręki i bezwzględnego wykorzystywania miejscowej ludności w XIX wieku, system rządzenia Indonezji został zrewidowany po pierwszej wojnie światowej i nowa konstytucja z r. 1922 podkreśliła, że królestwo składa się z dwuch części: Metropolii, Indonezii i posiadłości na morzu Karaibskim (Curacao, Gujana). Stwierdzeniu temu odpowiadała liberalna polityka w kolonii, gdzie ludność miejscowa brała coraz większy udział w administracji i miała możność zajmowania wyższych stanowisk w hierarchii urzędniczej. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w przeciwieństwie do kolonii angielskich w Indonezji nie było bariery pomiędzy Holendrami, a miejscową ludnością kolorową, czego najlepszym dowodem jest duża ilość mieszanych małżeństw, rzecz zupełnie nie do pomyślenia np. w Indiach brytyjskich.

Dlatego skrajny ruch nacjonalistyczny nie odgrywał przed wojną większej roli i stosunki panujące w Indonezji mogły były być często podawane jako przykład rozsądnej i opartej o zdrowe zasady administracji kolonialnej.

POLITYKA JAPOŃSKA

Sytuacja uległa zmianie z wybuchem konfliktu zbrojnego pomiędzy Japonią i Stanami Zjednoczonymi. Pomimo dużego wysiłku zbrojnego i oporu holenderskiego, Holendrzy nie byli w stanie zapewnić bezpieczeństwa swej kolonii i w parę miesięcy po wybuchu wojny Indonezja została zajęta przez wojska japońskie.

Pierwszym zadaniem polityki japońskiej we wszystkich krajach okupowanych było podsycanie skrajnych ruchów narodowościowych celem uniemożliwienia powrotu administracji europejskiej. W tym celu starała się ona przy każdej sposobności zniszczyć autorytet białego człowieka i równocześnie przez organizowanie administracji ogólnej z przywódców ruchów separatystycznych wpoić przekonanie w ludność miejscową, że jedynie w ramach systemu japońskiego będzie mogła odzyskać niepodległość. System ten zastosowano z całą bezwzględnością w Indiach Holenderskich. Holendrzy zamknięci zostali w obozach koncentracyjnych, gdzie żyli w bardzo ciężkich warunkach. Tworzenie nowej administracji miejscowej powierzone zostało p. Soekarno, jednemu z przywódców ruchu separatystycznego.

Soekarno jest wychowankiem uniwersytetu holenderskiego. Po ukończeniu studiów przebywał przez dłuższy czas w Holandii, gdzie obracał się w kołach socjalistycznych. Później wrócił do Indonezji, gdzie starał się zorganizować ruch nacjonalistyczny, w wyniku czego został osadzony w Dzjigael. Okupacja japońska dała mu możność prowadzenia dalej rozpoczętej poprzednio działalności, z której to możliwości Soekarno bez wahania skorzystał.

W chwili kapitulacji Japonii brak środków transportowych nie pozwolił na szybki przewóz wojsk sprzymierzonych, tak, że Japończycy byli jeszcze przez około półtora miesiąca panami położenia. Czas wyzyskali do zorganizowania partyzantki. Ludność miejscowa została zaopatrzona w broń i instruktorów japońskich. Bezpośrednio przed lądowaniem wojsk angielskich dowódca armii japońskiej na tym odcinku gen. Harada ogłosił wraz z Soekarno niepodległą republikę Indonezji, starając się w ten sposób stworzyć fakt dokonany.

KONFLIKT ANGIELSKO - HOLENDERSKI

Transport wojsk sprzymierzonych do Indonezji i rozbrajanie znajdujących się na jej obszarze wojsk japońskich stały się źródłem szeregu nieporozumień pomiędzy rządem holenderskim i W. Brytanią. Anglicy z początku odmówili ułatwienia przewiezienia wojsk holenderskich do Indonezji, tłumacząc się brakiem środków przewozu. Angielskie oddziały, które w tym czasie wylądowały na wyspach, miały być z czasem zastąpione przez wojska holenderskie. Oddziały te zajmowały się głównie rozbrajaniem jednostek japońskich, nie mieszając się do miejscowych stosunków.

Z wojskiem przybyli równocześnie przedstawiciele angielskich i amerykańskich kół handlowych, którzy rozpoczęli rozmowy z przedstawicielami miejscowych nacjonalistów, starając się uzyskać jak największą ilość koncesji handlowych. Mogło to nastąpić wyłącznie ze szkodą zainwestowanego tam już kapitału holenderskiego.

Polityka ta wywołała gwałtowną polemikę w prasie holenderskiej. Holendrzy zarzucają Anglikom i Amerykanom, że korzystając z sytuacji, chcą opanować kolonię, będącą główną podstawą ich dobrobytu i że w tym celu utrudniają powrót administracji holenderskiej i popierają wrogie Holendrom czynniki.

POLITYKA RZĄDU HOLENDERSKIEGO

Nie wchodząc w słuszność zarzutów, stawianych Anglii i Ameryce, stwierdzić należy, że rząd holenderski ponosi również w pewnej mierze odpowiedzialność za dotychczasowy rozwój wypadków. Dnia 7.VII. 1942 r. w przemówieniu, wygłoszonym przez królową Wilhelminę Holandia, oficjalnie ogłosiła, że ma zamiar gruntownie przebudować dotychczasowy system kolonialny. Według nowego projektu Indonezja miała otrzymać statut zbliżony do angielskich dominiów. Na oświadczeniu tym oparł się generalny gubernator Indonezji Tjarda van Starkenbergh Stachower. Opracował on plan pacyfikacji Indonezji, w którym dowodził, że należy najpierw stłumić rebelię, a później wprowadzić daleko idącą autonomię w ramach zakreślonych w przemówieniu królowej z 7. VII. 1942. Plan ten nie został przyjęty przez rząd. Starkenbergh został odwołany i mianowany ambasadorem w Paryżu, a na jego miejsce przyszedł dr van Moock, zwolennik porozumienia z rewolucyjnym rządem Soekarno i daleko idących ustępstw na rzecz ruchu separatystycznego.

Będący w tym czasie u władzy rząd prof. Schemerhorna, w którym socjaliści odgrywali decydującą rolę, nie potrafił zdobyć się na zdecydowaną politykę i zwlekał z przedsięwzięciem poważniejszej akcji aż do wyborów, które odbyły się 17 maja 1946 r. Wybory przyniosły wbrew oczekiwaniom zwycięstwo partii katolickiej, która uzyskała ponad 30% głosów, czyli więcej, niż zgrupowana około socjalistów Partia Pracy (28,3%).

Bezpośrednio po utworzeniu nowego parlamentu rząd prof. Schemerhorna ustąpił i misję utworzenia nowego gabinetu otrzymał przywódca partii katolickiej dr Beel. Utworzenie nowego rządu napotkało z miejsca na poważne trudności. Oparta o zasady marksizmu Partia Pracy hołduje kierunkowi „anty-imperialistycznemu" i stoi na stanowisku rokowania z rządem, utworzonym w Indonezji. W Partii Katolickiej składającej się z dość różnorodnych żywiołów panują dwie dążności: jedna pokrywa się ze stanowiskiem Partii Pracy, druga żąda tzw. polityki silnej ręki.

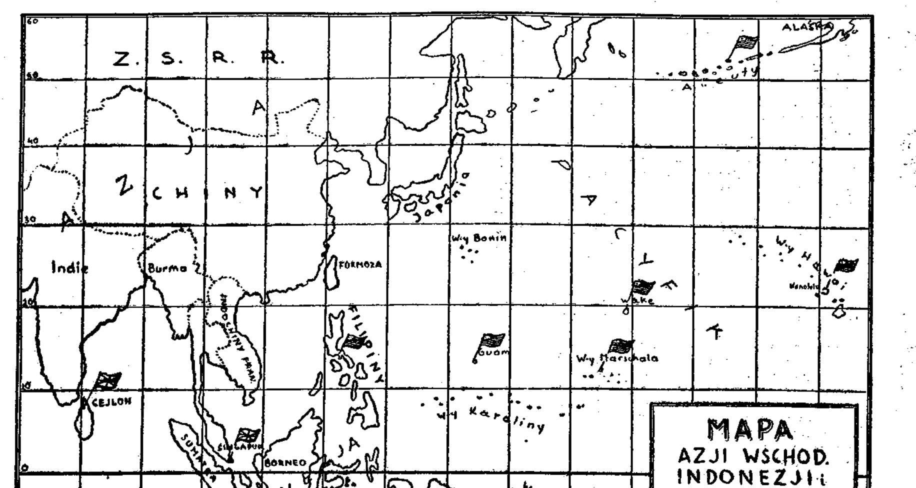

Po kilku tygodniowych dyskusjach, podczas których o mało co nie doszło do rozłamu w Partii Pracy jak i w Partii Katolickiej, utworzony został rząd koalicyjny. Obie strony zgodziły się na kompromis, w którym katolicy za ustępstwa w polityce wewnętrznej wyrzekli się niektórych żądań, dotyczących Indii Holenderskich.

Bezpośrednio po utworzeniu rządu mianowana została komisja pod przewodnictwem prof. Schemerhorna, która po długich i mozolnych rokowaniach doprowadziła do podpisania w jesieni ub. r. układu w Linggadijali, mającego stanowić podstawę przyszłego ustroju Indonezji.

Już samo zredagowanie układu pozwoliło przewidywać liczne trudności, które musiały powstać przy jego interpretacji. W myśl układu w Indiach Holenderskich powstać miały dwie republiki: Republika Indonezji, obejmująca wyspy Jawa, Sumatra i Madura, oraz Republika Wschodniej Indonezji, w skład której wchodzić miały Borneo, Celebes i Bali. Republiki te miały być połączone unią personalną z Królestwem Holenderskim. Zapomniano jednak określić, jak w praktyce ma się przedstawiać unia personalna pomiędzy nowopowstałymi republikami i koroną. Pod względem gospodarczym zgodzono się na upaństwowienie za odszkodowaniem majątku, znajdującego się dotychczas w rękach holenderskich, przy czym znowu nie określono w jakiej formie i kiedy odszkodowanie to nastąpi. Holendrom zapewnione zostały pewne przywileje handlowe, jak prawo pierwszeństwa przy podpisywaniu kontraktów itp.

Niejasne sformułowanie układu spowodowało natychmiast daleko idące różnice w interpretacji. Holendrzy wyobrażali sobie „unię personalną" jako ścisły związek dawnej kolonii z metropolią, podczas gdy nacjonaliści indonezyjscy byli skłonni rozumieć ją jako jedynie łączność symboliczną. Różnice interpretacji wywołały niedotrzymanie przez nacjonalistów niektórych punktów układu. Internowani obywatele holenderscy (około 30 tysięcy osób) nie zostali zwolnieni, a napady na garnizony holenderskie nie ustały. Fakty te wywołały dalsze krytyki ze strony prasy metropolii, krytyki zwrócone nie tylko pod adresem rządu, ale również pod adresem Anglii i Stanów Zjednoczonych, którym w dalszym ciągu zarzuca się utrudnianie porozumienia pomiędzy nacjonalistami i rządem holenderskim.

POLITYKA ANGLOSASÓW

Prasa holenderska jest coraz bardziej pesymistycznie nastawiona i coraz słabiej wierzy w możność odzyskania Indonezji. Koła wojskowe są natomiast usposobione bardziej optymistycznie. Optymizm swój opierają na następującym rozumowaniu: zatarg zbrojny pomiędzy Ameryką i Rosją Sowiecką jest, ich zdaniem, nieunikniony, choć bardziej odległy niż by się to mogło na pozór wydawać. Stany Zjednoczone chcąc nie chcąc muszą się liczyć z tą możliwością i w tym celu na spółkę z Anglią przygotowują na całym świecie konieczne bazy. Łańcuch tych baz ma się zaczynać w Kanadzie, następnie obejmuje wybrzeża Atlantyku, Antyle, Gujanę brytyjską i holenderską i Brazylię. W tym miejscu łańcuch baz przecina Atlantyk i łączy się na wysokości Freetown z systemem lotnisk, biegnących przez Afrykę do Kairu i Arabii Saudyjskiej. Stamtąd poprzez Cejlon, Syngapur, Filipiny, Archipelag Marshalla, Wake, Guam, Honolulu osiągają Kanadę i Alaskę. Indie Holenderskie znajdują się w bezpośrednim zapleczu opisanej powyżej linii. Dlatego też zdaniem niektórych holenderskich czynników wojskowych Anglosasom zależy na utrzymaniu spokoju i ustaleniu stosunków w tej części świata. Najlepszą gwarancją tego ustalenia jest powrót Holendrów i ich administracji. Polityka holenderska jest całkowicie nastawiona na najdalej idącą współpracę ze światem anglosaskim. Kolonie holenderskie zawsze stały otworem dla obcego kapitału, tak, że i obecnie żadne trudności nie będą stawiane dla kapitałów angielskiego lub amerykańskiego, które mogłyby być zainwestowane w Indonezji. Nic więc, teoretycznie biorąc, nie powinno stać na przeszkodzie powrotowi Holendrów do Indonezji.

W jaki sposób należy jednak tłumaczyć politykę państw anglosaskich, które dotychczas prowadziły akcję, którą Holendrzy w dużej mierze uważają jako antyholenderską? Angielski rząd Labour Party w propagandzie przedwyborczej wyraźnie potępił tzw. „politykę imperialistyczną". W chwili, w której Anglia obiecuje niepodległość Indiom oraz prowadzi rokowania z przedstawicielami Birmy, rząd nie mógł rozpocząć zdecydowanej akcji przeciwko walczącym o niepodległość Indiom Holenderskim. Nie trzeba również zapominać, że w Indonezji żyje duża liczba muzułmanów. Wystąpienie przeciwko muzułmanom z Indonezji, biorącym czynny udział w ruchu nacjonalistycznym, mogłoby popsuć stosunki z muzułmanami w Indiach brytyjskich i być przeszkodą w prowadzeniu rokowań z ligą panarabską. Z tych powodów Anglia nie mogła zdaniem niektórych Holendrów, udzielić Holandii od początku pełnego poparcia. Zmiana stanowiska Anglii, która przy sposobności starała się uzyskać tanim kosztem pewną ilość ustępstw, jest ich zdaniem tylko sprawą czasu.

Amerykańska opinia publiczna sprzyja ruchowi niepodległościowemu. Nie pojmuje ona, że różnice poziomu kulturalnego poszczególnych części Indonezji są tak duże, że jest rzeczą niemożliwą nadanie wszystkim całkowitej niepodległości. Mieszkańcy Jawy są dość daleko posunięci na drodze rozwoju kulturalnego. Natomiast plemiona zamieszkujące np. Nową Gwineję żyją na poziomie bez mała z epoki kamiennej i muszą jeszcze przejść przez szereg stopni rozwoju, zanim będą w stanie utworzyć własny rząd. Polityka amerykańska, która w obecnej chwili stoi na stanowisku nie mieszania się w wewnętrzne sprawy Indonezji, a za to rozmawiania z każdym faktycznym rządem, będzie musiała z czasem poprzeć Holendrów celem zapewnienia spokoju i ustalenia stosunków.

Rozumowanie to logiczne i przemawiające do przekonania nie zadawala jednak holenderskiej opinii publicznej, która rozżalona jest na Anglosasów i z dużym pesymizmem odnosi się do możliwości odzyskania utraconej kolonii.

WPŁYWY KOMUNISTYCZNE

Z chwilą gdy Anglosasi tworzą łańcuch baz w przewidywaniu ewentualnego zatargu z Rosją, jest rzeczą zupełnie naturalną, że Sowiety starają się ten łańcuch rozbić. W tym celu za pomocą agentów komunistycznych usiłują stworzyć trudności we wszystkich krajach kolonialnych, a w szczególności w krajach leżących na opisanej powyżej linii. Agenci komunistyczni działają również i w Indonezji. Największą rolę odgrywa Mahomet Hata, jeden z przywódców muzułmanów. Rząd powołany przez Soekarna jest jednak nastawiony wyraźnie antykomunistycznie, czego dowodem jest internowanie przez Indonezyjczyków jednego ze skrajnych działaczy komunistycznych. Tan Maalaka. W mianowanym przez Soekarno parlamencie komuniści otrzymali tylko 2 procent głosów. Zdaniem Holendrów wpływy ich nie są poważne i z tej strony nie zagraża im większe niebezpieczeństwo.

WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Pomimo odmowy ratyfikacji układu w Linggadijali przez parlament Indonezji, niektóre sfery holenderskie w dalszym ciągu patrzą w przyszłość z pewnym optymizmem. Spodziewają się one, że część nacjonalistów opowie się w końcu za nimi i duże nadzieje łączą z osobą premiera rządu republiki indonezyjskiej Sjohirem. Soekarno uważają za oportunistę i niechętnie z nim rozmawiają, zarzucając mu przede wszystkim współpracę z Japonią.

Rozkaz „cessez le feu", wydany przez Indonezyjczyków bezpośrednio po odmowie ratyfikacji układu w Linggadijali może do pewnego stopnia potwierdzić ich optymizm. Nie należy równie zapominać, że w obecnej chwili Holendrzy rozporządzają już w Indonezji armią, wynoszącą około 160 tys. ludzi i że cyfra ta będzie stale wzrastać.

Opinia publiczna i rząd zdają sobie jednak sprawę, że sytuacja jest poważna i że znalezienie modus vivendi wymagać będzie jeszcze długich i mozolnych rokowań.

O CO CHODZI?

Londyn, w marcu

Moskiewski zjazd czterech ministrów spraw zagranicznych będzie najważniejszym od chwili zakończenia działań wojennych, wydarzeniem w dyplomacji światowej. Nie potrzeba udowadniać jak wiele zależy od załatwienia sprawy niemieckiej, tego centralnego zagadnienia europejskiego.

Traktaty pokojowe z satelitami Niemiec są już podpisane. Teraz przychodzi kolej na głównego winowajcę. Z wielu stron wypowiadano zdanie, że wszystko to powinno było odbyć się w odwrotnym porządku: że należało zaczynać od tego co najważniejsze, a nie od tego co mniej ważne. Stało się jednak inaczej. Sprawę, która zapowiadała największe trudności, odsunięto przezornie na później. Liczono prawdopodobnie na to, że z czasem te trudności się zmniejszą.

Ich źródłem jest, jak to powszechnie wiadomo, brak istotnego porozumienia pomiędzy trzema głównymi mocarstwami, od których w obecnej chwili zależą losy świata. Ale dwa spośród nich: Stany Zjednoczone i W. Brytania — mimo dzielące je różnice — potrafią znaleźć wspólny język w sprawach zasadniczej wagi. Zagadnienie więc w dalszym ciągu polega na znalezieniu wspólnego języka pomiędzy tymi dwoma z jednej a Związkiem Sowieckim, z drugiej strony.

Sposób załatwienia sprawy niemieckiej ma być rozstrzygającą próbą znalezienia owego wspólnego języka. Pokaże ostatecznie, ile realizmu było na prawdę w ... realistycznym zamyśle światowej dyktatury trzech. Bo na nim opiera się wszelkie nadzieje związane z organizacją trwałego pokoju. On jest u podstaw statutu Narodów Zjednoczonych. Dla niego poświęcono niezależność mniejszych państw Europy środkowo-wschodniej i wolność ich obywateli a inne odsunięto w cień. Teraz przychodzi czas na próby. Jeżeli „wielcy trzej" będą w zgodzie, to może utrwalą się podstawy pokoju, który dla wielu oznacza niewolę. Jeżeli zgody osiągnąć nie potrafią, to będzie nadal trwał obecny stan „ani wojny, ani pokoju" męczący i nieznośny dla wszystkich. Jeden z brytyjskich komentatorów zapowiada ostrożnie, że nadzieje na zgodne załatwienie sprawy niemieckiej są bardzo wątpliwe". Naczelny dowódca w amerykańskiej strefie Niemiec gen. Lucian Clay zwołał ostatnio do Berlina konferencję czterech niemieckich premierów tej strefy. Rozmowy na temat utworzenia Niemiec Zachodnich są w toku. Odsłania się obszar Europy, który stanie się rzeczywistością, jeżeli zgody nie będzie. „Kurtyna" poprzez środek Niemiec przedzieli ostatecznie Europę na pół. Następstwa takiego stanu rzeczy są oczywiste: utrwalenie obecnego położenia, ale bez nadziei na poprawę w najbliższej przyszłości.

Jakież jest położenie obecne. Określa go jedno słowo: niezgoda. Jakie są jej najgłębsze przyczyny? Czy się coś pod tym względem zmieniło? W ostatnich czasach szukaliśmy pilnie odpowiedzi na te pytania. Szukaliśmy w głosach odpowiedzialnych mężów stanu i poważnych komentatorów po stronie anglosaskiej. Oto niektóre z nich:

W przemówieniu wygłoszonym 15 lutego, mówił p. Robert Patterson, amerykański minister wojny:

„Żadne pobożne życzenia nie mogą zakryć faktu, że bezpieczeństwo zbiorowe, oparte na światowej organizacji pokoju nie istnieje. Bezpieczeństwo naszego narodu opiera się na naszych własnych środkach. Żyjemy na świecie, który wciąż mówi słowami siły".

Jeszcze dzisiaj trwa wymiana not z powodu słów wypowiedzianych niedawno przez p. Achesona, amerykańskiego vice - ministra spraw zagranicznych:

„Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że rosyjska polityka zagraniczna jest napastnicza i zmierza do ekspansji".

A oto słowa brytyjskiego ministra p. Bevina, wypowiedziane ostatnio w toku zebrania Labour Party w Londynie.

Podajemy je za komunistycznym dziennikiem „Daily Worker", który ogłosił sprawozdanie z zebrania, przeznaczonego w zasadzie tylko dla członków partii.

„Stany Zjednoczone i ja pracujemy w zgodzie (get on well together).

Tamci mają swobodną prasę, a ja wiem i rozumiem czego chcą. Ale nigdy nie wiadomo, co Rosjanie zrobią, czy powiedzą. Trudno mi z nimi pracować, czy wiedzieć w jakim punkcie jesteśmy".

Czytaliśmy niedawno w artykule redakcyjnym „Timesa" poświęconym rozbrojeniu:

„Przemawiając w Nowym Yorku 6 lutego sir Alexander Cadogan zapytywał, czy wobec „politycznego i moralnego klimatu" rozprawy na temat rozbrojenia nie są przedwczesne. Zapewne, obecnie daleko jest od tego, aby sprawiały one wrażenie czegoś realistycznego i praktycznego. Narody Zjednoczone muszą stworzyć zadawalający system zbrojnego bezpieczeństwa, zanim będzie mogło przyjść rozbrojenie, a pierwszy krok musi uczynić komitet sztabów wojskowych, którego zadaniem jest planowanie organizacji wojsk Narodów Zjednoczonych. Pracuje on od roku, ale nie uczynił żadnych postępów".

W cytowanym już przez nas styczniowym numerze amerykańskiego miesięcznika „Foreign Affairs" jest też kilka prób określenia przyczyn i zasięgu niezgody. Oto co pisze p. Herbert Feis, b. doradca Departamentu Sztabu w rzeczach gospodarki międzynarodowej, ostatnio zaś specjalny doradca ministra wojny — na temat polityki handlowej w krajach tzw. strefy sowieckiej:

„Jasne jest, że Z. S. R. R. zdecydowany jest zapewnić sobie obszerne, jeśli nie dominujące miejsce w gospodarstwie tych krajów. Niemniej jasne jest też, że zamierza on nadzorować ich rozwój polityczny i społeczny. A w tej dziedzinie Stany Zjednoczone nie mogą pójść na kompromis chętnie, ani zbyt daleko. Bo nie chodzi im tylko o to, aby uzyskać kilka miliardów dolarów więcej dla handlu czy zysku. Chodzi im o zapewnienie, że te małe kraje będą miały na prawdę możność pójścia za własnym sądem w sprawach gospodarczych i politycznych. Chodzi im o ochronę amerykańskich stosunków handlowych na całym świecie przeciw możliwej napaści, ze strony połączonego bloku krajów pod przewodnictwem Z.S.R.R." ...

„Dylemat, przed którym stajemy, polegający na tym, jak silny należy kłaść nacisk na zastosowanie teoretycznej zasady równości szans, nie ograniczy się do przestrzeni geograficznej, będącej obecnym polem sporu. Zjawi się on niemal na pewno i to w dużym napięciu, w związku z załatwieniem sprawy niemieckiej. Tutaj zarówno prawa jak i interesy Stanów Zjednoczonych uzasadniałyby położenie nacisku na takie warunki, które nie dawałyby żadnemu krajowi uprzywilejowanej sytuacji w porównaniu z innymi".

W tymże numerze miesięcznika wypowiadają się na temat stosunków między wielkimi mocarstwami dwaj Brytyjczycy. Jednym z nich jest historyk dyplomacji i głośny komentator polityczny p. Harold Nicolson, który m.in. pisze:

„Powodem, który sprawia, że obecne załatwienia są tak niezmiernie zawikłane, jest to, że terytorialne, polityczne, gospodarcze i społeczne cele Rosji są w całkowitej niezgodzie z celami jej sprzymierzeńców".

Drugi komentator brytyjski poseł Labour Party p. Raymond Blackburn, stawia następującą diagnozę:

„Zdrowy sens musi pchać przewódców rosyjskich do współpracy. Na nieszczęście, ideologia komunistyczna odpycha ich jednocześnie od współpracy. Zgodnie z tą ideologią, mają oni tylko czekać na załamanie się kapitalizmu w Ameryce i innych krajach i na zastąpienie go komunizmem. Obowiązkiem ich jako komunistów jest pomagać w stworzeniu takich warunków, w których to gwałtowne obalanie burżuazji może nastąpić, jak tylko można najwcześniej.

„Tutaj jest, moim zdaniem, klucz naszych zagadnień w sprawach zagranicznych. Czy Ameryka i W. Brytania będą mogły namówić Związek Sowiecki do odrzucenia ideologii jako motywu w jego polityce zagranicznej, a do mocnego oparcia się o względy bezpieczeństwa i o zdrowy rozum?"

Wszystko to już gdzieś słyszeliśmy, już wielokrotnie czytaliśmy w rozmaitej formie. Tak jak w owej francuskiej piosence „Jeżeli ta historia Państwu się nie podoba, to... możemy ją zacząć raz jeszcze od początku". Tyle tylko, że nie wszyscy chcą już „basować". Europejska UNRRA jest już w stanie likwidacji, a kto będzie chciał, aby mu pomagano, będzie musiał się zwrócić bezpośrednio do Waszyngtonu.

J. Pr.

Ś. † P.

JAN KELLER

Ppłk. dypl., b. szef Wydziału Informacji i Oświaty Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie.
Zmarł nagle w Kairze dn. 16.I.1947.
O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku
Przyjaciele i dawni podkomendni
z b. Wydziału Informacji i Oświaty Dtwa A.P.W.

Rezolucja Rady Naczelnej Kongresu Polonii Ameryk.

Rada Naczelna Kongresu Polonii Amerykańskiej uchwaliła na 2. Zjeździe w Waszyngtonie dn. 14.2.47 rezolucję następującej treści:

„Dnia 15 marca 1947, na konferencji pokojowej, która ma się odbyć w Moskwie, nasza polityka zagraniczna i przyszłość świata wystawione będą na próbę. Głównym przedmiotem obrad będzie rola, którą Niemcy mają odegrać wśród narodów Europy, które bezlitośnie zniszczyli.

„Wyniki tej konferencji nie tylko określają podstawy, na których pokój i stabilizacja Europy będą oparte, lecz nadto ustanowią prawdziwą miarę naszego zwycięstwa i naszych zdobyczy moralnych w ostatniej wojnie.

„Jako Amerykanie pochodzenia polskiego, przejęci jesteśmy głęboką troską o nasze stanowisko i jego wyniki w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych i do Polski.

„Pożałowania godnym jest to, że Stany Zjednoczone znajdą się znów w defensywie w Moskwie, a to dzięki poważnym błędom politycznym, popełnionym w okresie wojny, gdy obrały drogę odwrotu przez „appeasement" i poświęcenia, zarówno w Teheranie, jak i w Jałcie, Moskwie i Poczdamie.

„Dowiadujemy się teraz o demonstracjach przeciw Stanom Zjednoczonym w Chinach i we Włoszech, o tym, że w Jugosławii zestrzelono nasze samoloty, że w Polsce kampania, obliczona na wywołanie nienawiści do Stanów Zjednoczonych, stała się jednym z głównych celów sowieckich kukieł oraz innych kukieł sowieckich w innych krajach. Zgodziliśmy się na oddanie takich strategicznych punktów jak południowa część Sachalinu i wysp Kurylskich. Na terenie Narodów Zjednoczonych nękani jesteśmy stale wysiłkami pozbawienia Stanów Zjednoczonych kontroli nad bombą atomową. W Niemczech zrezygnowaliśmy z wszelkich politycznych, wojskowych i moralnych korzyści. Udajemy się do Moskwy z nieszczęsnym dziedzictwem Jałty. Innymi słowy, jedziemy do Moskwy, by ocalić jedynie, co jeszcze można uratować z tych poważnych strat.

„W Moskwie Stany Zjednoczone spotkają się na nowo z wyzwaniem i na nowo, jak wielokrotnie dotąd, sprawa Polski stanie się kamieniem probierczym.

„Cokolwiek stanie się w Polsce i z Polską będzie w wielkiej mierze naszą odpowiedzialnością.

„Niedawno temu w związku z wynikami wyborów w Polsce nasz Prezydent i nasz Departament Stanu uznali tą odpowiedzialność.

„Gdyby nie Stany Zjednoczone, połowa Polski i 12.000.000 obywateli polskich nie byłyby oddani w niewolę sowiecką. Gdybyśmy nie zgodzili się na zniszczenie Polski od wewnątrz przez przyjęcie rosyjskiej 5. kolumny w postaci marionetkowego rządu — Polska byłaby nadal naszym sojusznikiem miast być narzędziem Rosji, jaką się stała.

Gdyby Stany Zjednoczone zaopiekowały się Polską, Sowiety nie byłyby w możności przedostania się do serca Europy poprzez powaloną i wyczerpaną Polskę. Polska, która pierwsza podjęła walkę i ostatnia ją zaprzestała, straciła połowę swych ziem na podstawie tajnej umowy obcych, wbrew swej woli, umowy podpisanej w Jałcie. Naród Stanów Zjednoczonych łączy się z narodem polskim w zaprzeczaniu ważności tego rodzaju umowy. Historia kiedyś zażąda wytłumaczenia, dlaczego połowę Polski oddano Rosji Sowieckiej. Ze wstydem będziemy musieli przyznać, że stało się to wbrew woli Narodu Polskiego bez wiedzy Narodu Amerykańskiego, bez zatwierdzenia przez Senat Stanów Zjednoczonych. Dlatego też nasza delegacja na konferencję w Moskwie nie powinna uznać Jałty jako umowy, obowiązującej Stany Zjednoczone. Delegacja ta nie powinna uznać wschodnich granic Polski jako definitywnie wykreślonych. Delegacja ta powinna wypowiedzieć i uznać umowę jałtańską za nieważną, opierając się na zasadzie Czterech Wolności, na Karcie Atlantyckiej i na Karcie Narodów Zjednoczonych.

„Nasi delegaci do Moskwy nie mogą uznać niewoli Polski za fakt dokonany. Nie jest ona dokonaną. Nie ma ona ani moralnej ani prawnej podstawy. Stoi w sprzeczności z wolą obu naszych narodów. Pogwałca ona wszelkie zasady, w imię których walczyliśmy, a nadewszystko zagraża ona pokojowi i narusza podstawy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

„Rozpoczęcie obrad od dyskusji nad granicami Niemiec bez poprzedniego rozważenia wschodnich granic Polski, równałoby się przyjęciu wzorów Monachium i Jałty zamiast Karty Atlantyckiej i celów Narodów Zjednoczonych.

„Linią obrony moralnej Stanów Zjednoczonych w Europie są wschodnie granice Polski. Tam bowiem, na tych granicach zostaliśmy pobici — i tam tylko musimy zwyciężyć.

„Przeto uchwalamy:

„Aby rezolucja niniejsza była przesłana Sekretarzowi Stanu, członkom Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, członkom Senatu Stanów Zjednoczonych oraz delegatom amerykańskim do Organizacji Narodów Zjednoczonych."

Odezwa Rady Naczelnej Kongresu Rady Polonii Amerykańskiej do Narodu Polskiego

Zjazd Rady Naczelnej Kongresu Polonii, który odbył się w dniach 13 i 14 lutego 1947 w Waszyngtonie zwrócił się do Narodu Polskiego z następ. odezwą:

Rodacy,

Zebrani na Drugim Zjeździe Kongresu Polonii Amerykańskiej w stolicy naszej wielkiej Ojczyzny Stanów Zjednoczonych — ślemy Wam braterskie pozdrowienie.

Świadomi jesteśmy, że w dzisiejszych tragicznych chwilach oczy Wasze, oczy umęczonego Narodu Polskiego w Kraju, skierowane są w naszą stronę, ponieważ jesteśmy jedynym wielkim i wolnym skupiskiem polskim, stanowiącym integralną część potężnych Stanów Zjednoczonych.

Świadomi jesteśmy, że spodziewacie się od nas, wolność milionowych obywateli Stanów Zjednoczonych [illegible] i [illegible] w domu niewoli.

Aczkolwiek oddaleni o tysiące mil ślemy Wam zapewnienie, że nieszczęścia i krzywdy Wasze odczuwamy jako własne. Zapewniamy Was, że nietylko zdajemy sobie dokładnie sprawę z Waszej niedoli — ale także dobrze rozumiemy obowiązki jakie z tego powodu na nas ciążą.

Ze czcią chylimy nasze czoła przed Wami, przed bohaterskim cierpieniem, przed łzami i krwią, którymi Wasi bohaterzy roszą ziemię naszych Ojców — tocząc nieustanną walkę o wolność. Wiemy, że Polak raczej zginie, aniżeli zgodzi się dźwigać jarzmo niewolnika. Bolejemy, że tyle ofiar i krwi potrzeba, by stale wykazywać światu, że Polska nie będzie niewolnicą i udowadniać, że reżym warszawski nie jest i nie może być reprezentantem Narodu Polskiego.

Nie tylko sercem, ale i naszą akcją o wolność Polski jesteśmy z Wami. Wierzymy niezłomnie, że oparta na zbrodni i gwałtach dyktatura czerwonych faszystów musi podzielić losy dyktatury faszystów brunatnych. Niezłomność Waszą w umiłowaniu wolności czcimy i jesteśmy z niej dumni. Wierzymy, że z tej niezłomności powstanie wolna i niepodległa Polska.

Zapewniamy Was, że Polonia Amerykańska nie zawiedzie... Walkę o wolność i niepodległość Polski, którą podjęliśmy, nie tylko ko dalej poprowadzimy, ale ją spotęgujemy jeszcze. Przyrzekamy Wam, że tak długo będziemy uderzali w leniwe sumienie świata, aż się nareszcie przebudzi i w sprawie polskiej przemówi.

Będziemy nadal dzielić się z Wami tym, co posiadamy. Uczynimy wszystko, by Wam umożliwić przetrwanie tej strasznej nędzy, sprowadzonej przez bezprawną i katygodną — samowolną gospodarkę czerwonych faszystów i przez rosyjską eksploatację. Nie ustaniemy w tej pracy dotąd, aż znów dla Was zaświeci słońce wolności, a Polska znajdzie się z powrotem w rodzinie wolnych — demokratycznych narodów.

Niech żyje Polska Ludowa — w nieuszczuplonych granicach na wschodzie i w odzyskanych — a słusznie się Jej należących — obecnych granicach na zachodzie.

Niech żyje bohaterski Naród Polski.

Za Radę Naczelną Kongresu Polonii Amerykańskiej:

(—) Karol Rozmarek, prezes
(—) Jan Stanek, sekretarz.

Kongres Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii

Dnia 23 lutego br. zebrał się w Londynie pierwszy Kongres Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, zwołany przez Komitet Organizacyjny Zjednoczenia. Celem Kongresu jest zastanowienie się nad sposobem zaspokojenia najpilniejszych potrzeb uchodźstwa polskiego w W. Brytanii w zakresie spraw ogólno-narodowych, społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Zjednoczenie realizując ten cel przyjęło zasadę apolityczności.

W Kongresie wzięło udział 120 delegatów, reprezentując 30 organizacji polskich, działających na terenie W. Brytanii.

Na przewodniczącego zebrania wybrany został prof. S. Stroński. Przewodniczący Kongresu zakomunikował zebranym, że prezydent Władysław Raczkiewicz i premier T. Arciszewski przekazali Kongresowi życzenia pomyślnych obrad.

Kongres przyjął m. in. deklarację ideową, treści następującej:

„W myśl stwierdzonych na czele statutu Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii chrześcijańskich i demokratycznych zasad wolności, sprawiedliwości i poszanowania godności człowieka, Pierwszy Kongres Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, oświadcza:

1. Praw Narodu Polskiego do wolności, niepodległości i całości obszaru Rzeczypospolitej, okupionych najofiarniejszym udziałem Polski w ostatniej wojnie i poręczonych umowami międzynarodowymi, nie może zniszczyć żadne bezprawie narzucone przez najeźdźcę Krajowi lub popełnione, czy dopuszczone na gruncie międzynarodowym. Ciągłość prawna Państwa Polskiego i jego prawowitych Władz [illegible] Krajowi Rządu tworzonego całkowicie poza prawem państwowym polskim pozostaje bezprawiem. Naród Polski, który wierząc w sprawiedliwość, przetrwał w toku swych dziejów najcięższe ciosy, czerpie i teraz siłę wytrwania w wierze, iż wojna, w której Narody Zjednoczone tak wielkim wysiłkiem i tak wielkimi ofiarami podjęły walkę o wolność narodów i o prawo w ich życiu, nie może się skończyć ujarzmieniem narodu i wydaniem wszelkich zasad prawa na urągowisko. Polska odzyska wolność i niepodległość.

2. Jedność Kraju i Wychodźstwa Polskiego, jak istniała przeciw najazdowi niemieckiemu tak istnieje obecnie. Podstawowe oświadczenie Rady Jedności Narodowej w Kraju z 15 marca 1944 r., oparte na zasadach demokracji politycznej i społecznej, pozostaje w mocy dla Kraju i dla Wychodźstwa. Stałe niesienie pomocy Krajowi, wszędzie i we wszystkim gdzie to jest możliwe, uważa Zjednoczenie za jedno ze swych zasad naczelnych.

3. Wysoko ceniąc możność pracy w Wielkiej Brytanii, w poszanowaniu praw i zwyczajów tego kraju, Zjednoczenie przystępuje do spełnienia swych zadań, określonych w statucie, na rzecz dobra duchowego, rzetelnej i umiejętnej pracy zawodowej, oraz zwartości społecznej i narodowej Wychodźstwa Polskiego w Wielkiej Brytanii.

* * *

Prezesem Zjednoczenia Polaków w W. Brytanii wybrany został przez Kongres, inż. Józef Różański (prezes Związku Techników), a członkami Zarządu: B. Łaszewski, St. Grocholski, płk. Zygfryd Piątkowski, inż. Bałkowski, Krause, Wierzbiański, Giergielewicz, Pankiewicz, Zachariasiewicz i Kus.

WIEDZA I POSTĘP

Postęp w świecie techniki

W ostatnich czasach następuje istny wyścig poszczególnych państw czy narodów w zakresie techniki produkcyjnej najrozmaitszego rodzaju sprzętu. Najbardziej jednak interesujące dla ogółu są postępy w dziedzinie poszukiwań związanych z zagadnieniami strategicznymi. Energia jądrowa, bomba uranowa, samolot rakietowy, pociski sterowane — to najchętniej czytane tematy na szpaltach prasy codziennej. Nie zaciekawia może człowieka rakieta międzyplanetarna, jak zasięg pocisku sterowanego, czy szybkość samolotu o napędzie rakietowym. Lecz nie to jest najciekawsze, o czym się pisze w prasie. Gdyby tak było można dostać się do safe'ów z planami badań naukowych, moglibyśmy orientować się o zamiarach „panów tego świata" na najbliższych kilkanaście lat. Rzeczy, o których czytamy to już zagadnienia zdeaktualizowane.

Przejrzyjmy listę spraw technicznych poruszanych w prasie fachowej w ubiegłym tygodniu. Wcale interesująca.

1. Strzelnica dla broni dalekiego zasięgu

W Australii zainstalowano strzelnicę dla broni dalekiego zasięgu. Będą tam przeprowadzane doświadczenia z pociskami rakietowymi, z samopędnymi pociskami sterowanymi, oraz z pociskami do zwalczania samolotów i rakiet dalekosiężnych o szybkościach ponaddźwiękowych. Jak wiadomo, szybkość dźwięku wynosi około 333 metrów na sekundę, tj. około 1,200 km. na godzinę. Trudno jest trafić normalnym pociskiem w stosunkowo niewielki a odległy cel, poruszający się z taką lub jeszcze większą szybkością. Wobec tego trzeba było zrobić pocisk samonacelowujący się w czasie lotu. Tego rodzaju pociski zostały wyprodukowane przed dwoma laty i są stale udoskonalane.

2. Elektryczne startownice samolotów

Firma Westinghouse Corporation wyprodukowała dla marynarki wojennej U. S. A. urządzenie, pozwalające na skrócenie odcinka startu dla ciężkich bombowców do 150 m albo i mniej. Jest to napinacz linowy 400 m długości, napędzany motorem elektrycznym. Daje on samolotowi przyspieszenie powyżej [illegible] metrów na sekundę w sekundzie (przyspieszanie ziemskie wynosi zaledwie 9,81 m na sek. w sek.). Wskutek tego samolot na odcinku 150 m. uzyskuje szybkość 200 km na godzinę, która wystarcza do wystartowania najcięższych samolotów.

Należy zaznaczyć, że długość startu na lotniskowcach wynosi około 200 m.

3. Nowy rakietowiec amerykański

Amerykanie przystąpili do budowy nowego samolotu Bell XS-1 o napędzie rakietowym. Cechy charakterystyczne: szybkość 2700 km na godz. (750 m/sek.); pułap 25.000 m: 4 zespoły napędowe ze stali nierdzewnej o wadze poniżej 90 kg każdy. Materiały pędne: tlen, alkohol etylowy i woda. Wobec tego w W. Brytanii przerwano budowę samolotu Miles 52 o projektowanej szybkości około 600 km na godzinę (450 m/sek.), gdy już „w studiach zestarzał się" i nie odpowiada nowym wymaganiom.

Z podobnym zjawiskiem będziemy się spotykali coraz częściej. Modele w czasie ich opracowywania będą okazywać się przestarzałymi. A jak wiadomo zaskoczeniem strategicznym jest nie tylko rodzaj broni, ale termin jej wyprodukowania.

4. Rakietowy sprzęt lotniczy w Wielkiej Brytanii

W styczniu 1947 r. został zorganizowany w W. Brytanii pierwszy pułk (skrzydło) lotniczy dla prób rakietowego sprzętu lotniczego. Do prób zostały przeznaczone samoloty Armstrong Whitworth AW 52 zaopatrzone w dwa silniki rakietowe Rolls Royce.

5. Samoloty bezpilotowe

Jak oświadczył szef U. S. Air Forces Guided Missile Division, amerykańskie samoloty bezpilotowe mogą osiągnąć każdy punkt na kuli ziemskiej. Na wielkie odległości będą nastawiane automatycznie a na odległość do 100 km sterowane. Przy czym samolot taki, wyposażony w nadawcze urządzenie telewizyjne, może być kierowany z pokoju operacyjnego bezpośrednio na cel.

6. Wykorzystanie fachowców niemieckich w Stanach Zjednoczonych A. P.

Ministerstwo wojny Stanów Zjednoczonych zatrudniło przy budowie sprzętu rakietowego ok. 1000 Niemców, m. in. i wynalazcę pocisku rakietowego V 2. Niemcy bowiem, mimo braku inwencji, są daleko lepiej obeznani z warunkami technicznymi sprzętu wojennego niż uczeni i technicy amerykańscy. Jest ciekawe, że wielu uczonych amerykańskich odmówiło swej współpracy przy produkcji bomby uranowej, jako działalności sprzecznej z zasadami humanitarnymi. Inicjatorami bomby byli Europejczycy, głównie uciekinierzy z Niemiec i „ofiara faszyzmu" Fermi.

7. Rozpraszacz mgły

Jedną z największych plag dla lotnictwa jest mgła. Wiele pracy i pieniędzy wyłożono na rozwiązanie problemu rozpraszania mgły na lotniskach. W czasie wojny W. Brytania, przy pomocy polskich sił naukowych zdołała to zagadnienie rozwiązać. Przez szybkie i gwałtowne spalanie dużej ilości materiałów pędnych można było uzyskać uwolnienie lotniska od mgły przynajmniej na pewien czas. Było to jednak bardzo kosztowne.

Czynione są stałe próby innego rozwiązania. Jak wiadomo, cząsteczki pary wodnej posiadają jednoimienne ładunki elektryczne, a więc wzajemnie się odpychają. Uniemożliwia to samoczynną kondensację pary i spadnięcie mgły w postaci kropel. Były robione różne próby dla skroplenia mgły. Niemcy zorganizowali nawet szereg katedr na uniwersytetach, m. in. w Królewcu dla studiów nad tym zagadnieniem.

W ostatnich czasach przeprowadzono szereg skutecznych prób z falami ultradźwiękowymi dla skraplania mgły.

Fale dźwiękowe w ośrodku gazowym są falami podłużnymi, a więc skupiającymi i rozrzedzającymi jego cząsteczki w kierunku rozchodzenia się dźwięku. Ucho ludzkie reaguje na zakres od 16 do 20.000 drgań na sekundę. Częstotliwości ośrodka większe aniżeli 20.000 drgań na sekundę są dla zmysłu słuchu niedostępne i nazywają się ponadsłyszalnymi czyli ultraakustycznymi.

Cząsteczki mgły, w której rozchodzi się fala ponadsłyszalna są wprowadzane w ruch z bardzo dużą szybkością, a więc nabierają znacznej energii. Umożliwia ona, mimo odpychania ładunków elektrycznych, zderzanie się cząsteczek i dejonizację mgły, a w dalszej kolejności kondensację pary wodnej.

8. Odkrycie złóż tantalu

W północno-zachodniej Kanadzie zostały odkryte wielkie złoża tantalu (Ta), pierwiastka o liczbie atomowej (73). Metal ten posiada dużą twardość, ciągliwość oraz odporność na działanie kwasów i nie ulega wewnętrznej korozji. Jest szeroko stosowany w medycynie, w elektrotechnice i przemyśle chemicznym. Ze względu na wysoki punkt topliwości przewiduje się jego użycie do urządzeń napędu rakietowego.

Inż. A. Gac

„KRAUZOWIE I INNI"

Zbigniew FLORCZAK

Historia jest glebą, którą dobrze czują stopy, ale w której ręce niechętnie już się zagłębiają. Przyczyną tego jest nerwowość, a może tylko przesadne poczucie odmienności naszego czasu, który wydaje się spiętrzeniem katastrof, rozbitą banią krzywdy. O tym nastawieniu dzisiejszego odbiorcy literatury nie można zapomnieć, zabierając się do czytania książki Herminii Naglerowej „Krauzowie i inni".

Ukazuje się na wychodźstwie długa powieść, której treść stanowi życie miasteczka galicyjskiego w latach 1865 — 67. W dodatku drugie wydanie książki przedwojennej, która po raz pierwszy wyszła dziesięć lat temu. To nawarstwienie czasu nad powieścią, czasu bogatego w najdonioślejsze przemiany, każe dzisiejszemu czytelnikowi podejść do dzieła z pewnym uprzedzeniem. Czytelnik, który ma za sobą doświadczenia ponad miarę najbardziej wybujałej wyobraźni pisarskiej, skłonny jest grubiańsko zapytać: po co to było przedrukowywać ?

Herminia Naglerowa

W przedmowie do obecnego wydania autorka uprzedza tę kwestię. Podkreśla w niej szczerze, że powieść powstała głównie z miłości do tego zakątka ziemi, na którym rozgrywają się losy jej bohaterów. A odtworzenie myśli i dążeń pokolenia, które tę ziemie zamieszkiwało kilkadziesiąt lat temu, wynikło z chęci pogłębienia i uplastycznienia tej miłości. Byłby to więc rysunek genealogiczny własnego przywiązania. Motyw prosty, ale leżący poza zasięgiem wglądu krytyki, raczej już w granicach psychologii twórczości — teren to dla dociekliwości naszych czasów nęcący ale trochę za odległy.

W łańcuchu trzech czynników: czytelnika, autorki i dzieła — ostatnie stanowi najbardziej obiektywną, najbardziej decydującą „osobowość". Powieść ma własną mowę i argumentację: kiedy się w nią wejdzie z uwagą, wstępna wątpliwość czytelnika odpada sama przez się, a tłumaczenie autorki staje się zbędne. Organizm dzieła jest dostatecznie mocny, a jego żywot pełny — by powieść potrzebowała jakiejkolwiek legitymacji z zewnątrz. Słowem, sprawa schodzi na grunt sztuki pisarskiej i tam się rozstrzyga.

Doszedłszy do tego punktu, przywiązuję doń dużą wagę Pozwala on bowiem zaniechać omawiania zagadnień historycznych, jakie z powieści wynikają, a nawet wręcz zdają się kokietować dzisiejszego czytelnika — nie tyle z woli autorki, która przestrzegała w tekście dyskrecji dobrej sztuki, co raczej z przyczyny nas samych i natury naszego otoczenia, które ma jak gdyby dodatkowy zmysł polityki i gotowe jest dopatrywać się symbolów i analogii, gdzie się tylko da.

Z grubsza, problemat powieści streszcza się w pytaniu: jak się zachowywało społeczeństwo galicyjskie czy w ogóle społeczeństwo polskie po klęsce powstania 1863 r.? W jakim stopniu codzienne życie, silnie i widocznie zależne od zjawisk materialnych, przekreślało czy podkreślało potencjał idej, które niedawno tym społeczeństwem wstrząsnęły ?

Książka rozwija zagadnienie uczciwie, to znaczy nie staje się aparatem na gwałt fabrykującym ideje, które my być może dzisiaj — a posteriori przeceniamy (albo których nie doceniamy). To znaczy, że ludzie, stworzeni na pierwszych stronach, nie zaczynają w pewnym miejscu podskakiwać w takt jakiegoś współczesnego sentymentu ideologicznego.

Jest to naturalnie pod adresem autorki komplement minimalny, po prostu określenie warunków, jakim musi odpowiadać dzieło sztuki. Rzeczywiście Krauzowie, Łuzińscy, Ładnowscy i inni żyją w sposób prywatny, namiętny i całkowity, jak naprawdę — namiętnie i całkowicie — żyje każdy z nas. Aż w pewnym miejscu przestaje się czuć ręce autorki, organizując to iluzoryczne, literackie życie. I to już jest komplement najprawdziwszy, jaki można oddać powieści realistycznej.

Przypomina się ciekawe sformułowanie istoty realizmu przez Wykę w „Twórczości". Zwraca on mianowicie uwagę na moment „obiektywnej niespodzianki": innymi słowy na niespodziane, organiczne rozwinięcie się motywów stworzonych przez pisarza ze szczerym realizmem. Kiedy w pewnej chwili władza autora kończy się, bo życie zostało w utworze sprowokowane tak silnie, że zaczyna się toczyć samo, kontrola autora zdaje się ledwie za nim nadążać.

Jakkolwiek ujęcie takie wydawać się może teoretyczne i idealne, w powieści Naglerowej można je w pewnej skali podpatrzeć. Rysunek licznych postaci jest wnikliwy, mechanizm ich wzajemnego poruszania się niebanalny a twórczy, bo doprowadzający do naturalnego zawiązania się konfliktów. To wszystko tym bardziej niespodziewane, że podane w ubogim naczyniu, w niewielkich przedmiotowo ramach: mieścina galicyjska Bory, a w niej zabawne figury kantorników o rosnących ambicjach, pachciarzy, piwowarów czy zdegradowanych panków.

W takim ciasnym teatrzyku życie pokazuje cały wachlarz swych skłonności i uprzedzeń: chciwość poprzez miłość, lub odwrotnie, nadto gadulstwo, zazdrość, pychę. Człowiek oddziaływa na człowieka: cnoty mają swą mieszczańską granicę, wady są wtopione w ogólny niepokój i mało świadome pragnienie pewnej (może borowskiej) harmonii.

Jeśli wolno porównywać, to Naglerowa ma do swoich postaci stosunek, jak się mówi, prusowski, czyli uśmiech i pobłażliwość — a w ogóle namiętną miłość do środowiska, co od razu czuje się w nagromadzeniu szczegółów, w odrysowaniu wszystkich najdrobniejszych nawet właściwości.

Zresztą praca w tym kierunku jest wdzięczna. Polskie miasteczko kresowe zawsze było kuszącym modelem literackim. Inne na Wileńszczyźnie, inne we Lwowskim, ale jako twór plastyczny całkiem pokrewne. Okręcone płotami, które w tych ziemiach polskich stanowią jak gdyby piąty żywioł, przysiadłe tym i owym placem ze szkołą czy ratuszem — istna satyra na architekturę, satyra gogolowska na obyczaje, zawsze gniazdo ludzkich dziwolągów, omotane deszczem, podklejone błotem, wypięte w tych paru sakralnych punktach, które się zowią: pan burmistrz, pan aptekarz, albo pan redaktor tamtejszej „Codziennej". Oto typ na wszystkie czasy. Już go nie potrzebowała tworzyć Naglerowa, zrobiono to za nią dawniej: Prus, Żeromski, Strug, a potem Zegadłowicz czy Dąbrowska.

Prototyp środowiska tkwi w pamięci czytelnika, trzeba go tylko wywołać: faire sortir. Więc zjawia się na stronicy książki cwany sukcesor aptekarza Julek Lityński, potem przebiega bruk ulicy Złotej zadumany filantrop — konsyliarz Goldman, stary Krauze odkrzyczy swój wierszyk w szynku, pani Ernestyna przypomni mężowi kłopotliwe spory pań ze stowarzyszenia św. Wincentego, zaszwargocze paru żydków, chłopi na rynku trzasną z batów... Po tych paru sygnałach wyobraźnia podchwytuje refren, już jest w szynkach, pchać jej nie ma co, bo stacza się sama w jakieś najtypowsze pra - Bory. Autorka ma odtąd inne zadanie, szczegółowsze: chodzi tylko o przejście z kanonu w pełne ramy jedynego życia, więc o specyfikację miejsca i ludzi, o ich imiona własne.

Wspomina Naglerowa w przedmowie, że chodziło jej także o stwierdzenie atrakcyjności polskiej kultury, wplecionej w etnograficzne tło ruskie. Ma się jednak wrażenie, że przecież to tło nie uzyskało w powieści dostatecznego miejsca: zostało tak szczelnie wyklejone polskim mieszczaństwem, galerią miejscowych Żydów i garstką szlachty, że etnograficzny stan rzeczy nie ma wyrazu właściwego. Ludu ruskiego w Borach mniej, niż by miało się prawo go spodziewać, bo przecież w istocie otacza on Bory masą, do której Krauzowie i inni często i chętnie w ciągu swego sznureczkowatego żywota docierają. Naglerowa dociera doń rzadziej. Szkoda, bo jeżeli chodziło o sprawdzenie wagi polskości na tamtych terenach, to cały zamiar autorski znalazłby się w korzystniejszych, bardziej podniecających warunkach: właśnie gdyby podkreślono ruskość podłoża, polskość odznaczałaby się na jej tle bardziej czynnym, dynamicznym charakterem.

Sprawy polityczne brzmią w Borach tylko jako echo z wczoraj. Odzywają się żywiej w zetknięciu z aktywistami poprzedniego okresu, którym fatalnie opadają skrzydła w potulnych warunkach popowstaniowych. Poza tą sferą wspomnień, wiele otuchy czerpie Naglerowa w nieodmiennie czynnym stanie powszedniego życia, które nie upada, a rośnie, choć w cierpliwym, względnym postępie.

Przychodzi na myśl Orzeszkowa, która oparła swoją powieść na podobnym, popowstaniowym wątku. Ale w „Nad Niemnem" wojuje i pobrzmiewa żywy ciągle romantyzm wspomnień i w rzeczywistości wojuje nim dość widocznie sama autorka: powieść jest nie tyle studium, co utworem dydaktycznym. W „Krauzach" pozycja autorki jest bardziej ukryta. Pisząc podobną rzecz w innej epoce, Naglerowa zastosowała nowocześniejsze kryteria artystyczne: stworzyła możliwie obiektywne studium.

Dlatego, choć przedmiot jest uwięziony w miejscu i czasie, tak swoisty, że aż egzotyczny, można by doskonale to studium pojąć nie tylko w kontekście dziejów polskich, ale w ujęciu ogólniejszym. N.p. jako zagadnienie wpływu idei politycznych na życie ludzi średniej miary duchowej. Jako doskonałą ilustrację wagi codziennego, żmudnego życia, które z trudnością poddaje się despotyzmowi idealizmu politycznego i tylko z najwyższą trudnością rezygnuje ze swego tempa mrówczego i fatalnego jak przesypywanie się piasku w klepsydrze.

Taki ton życia w Borach, takie wytrawne, niedzisiejsze tempo tamtejszych spraw, prawdopodobnie przesądziło o rodzaju podjętej przez Naglerową formy. Tu jest moment delikatny, „zawodowy", w którym krytyk staje się gadatliwy, a autor zatyka uszy. Bo w zasadzie o formie można powiedzieć: że jest udana, kiedy służy bez reszty treści. W odniesieniu do „Krauzów" można to powiedzieć z całym przekonaniem.

Opowiadanie przelewa się w powolnym iście ruskim roztopie epitetów, zdań, opisów. Wypadki nie spieszą się i autorka nie chce ich łapać z boku, ani skracać. Nerwy jej nie są podobne do nerwów dzisiejszego operatora filmowego. Ani jednej niespodzianej perspektywy, ani jednej sceny wyciśniętej w garści na tyle, żeby bluznęła z niej sama najistotniejsza treść namiętności, jak krew. Naglerowa mówi nie tylko językiem tamtej epoki, barwiąc go na borowski sposób, ale przede wszystkim w jakimś kongenialnym, autentycznym tempie, naśladującym oryginalny czas w Borach z 1867 roku. W rezultacie, gdy nieżwawa rzeka tekstu przeleje się przez mózg czytelnika, ma on dodatkowe wrażenie prawdy, do której ogólnie autorka zmierza. Czyli sama forma jeszcze prawdziwiej narzuca zamierzony obraz.

Ale — zasada istnienia tylko jednej formy dla danej treści jest pojęciem idealnym. Praktycznie istnieje węższy czy szerszy odcinek wyboru, który nie zawsze jest wykorzystany. W wypadku „Krauzów" nasuwa się wątpliwość, czy wybranie tej prostej epickiej formy — niemal technicznie naśladującej naturę opisywanego przedmiotu — nie jest aby aktem pewnej łatwości autorskiej. Podejmując temat odległy i staroświecki, do którego dzisiejszy czytelnik z góry podchodzi niechętnie, można by dodać atrakcyjności przez unowocześnienie, unerwienie środków wyrazu. „Krauzowie" proszą się chwilami o więcej ruchu ze strony narratora, o częstsze zmiany punktów obserwacji, poprostu o inne — kontrastowe — tempo.

Kontrast nie jest wynalazkiem dzisiejszym, ale jest jednym z ulubionych środków nowoczesnej kompozycji. Często odnawia i odświeża przedmiot, często ratuje go wręcz od śmierci w nudzie. Umysłowi nowoczesnemu nie zaimponuje się dokładnością, ale raczej syntezą, paradoksem, który łapie istotę przedmiotu za ręce, skrótem, który ją modeluje w wielu i szybkich rzutach. Nie jest przypadkiem, że te kategorie kompozycji czuje się w dzisiejszym malarstwie, i poezji, i muzyce, a także ogląda się w filmie. Czas „Jana Krzysztofa" minął, jest czas Eliota.

Szanując własną skłonność do tego czy innego typu formy, niesposób nie wyrównać autorskiego rachunku ze wspomnianą tendencją współczesności. Naglerowa uczyniła to skąpo, szczerzej w zakresie pojedyńczego epitetu czy metafory — mniej chętnie w szerszym zakresie kompozycji. Takie są niedyskretne, zawodowe refleksje krytyka, na które autor podnosi zwykle ręce do uszu.

Ale może dobrze, że ich nie słucha. Bo krytyk w swoim dążeniu do obiektywizacji dzieła jakże często chciałby po prostu zetrzeć zamaszyście całą barwę jego przyrodzonej indywidualności.

Józefa RADZYMIŃSKA

POEMATY PROZĄ

MGŁA

Jak ciszą wieczorną napełniona jestem Tobą. Przychodzisz przez dal i przedziwnie dotykasz ciała, które śpi spokojniej od traw wysmukłych.

A kiedy wstąpisz we mnie, spojrzę radosna, że oto rozchyliłeś mnie, by zabrać ze sobą przez dal, z której przyszedłeś.

W kraju — gdzie jesteś — mgła. To nie jest ona. To zawsze nad Tobą spojrzenie moje.

Tak patrząc — jestem w twoich dłoniach, które szukają drogi.

BLASK

Zatrzymujesz się nagle, rażony myślą, że minęło ci życie.

Jest to melodia z daleka — lecz czemu przypomina niemiecką „Lili Marlen"?

Uporczywy refren kłuje w czubki palców.

To była wojna.

Mówią, że koniecznie zapach prochu?

Nie. Wojną jest po prostu przestrzeń, gdzie trupy ludzkie śmieją się same z siebie.

Idź dalej. Umiesz iść.

Lili Marlen jest marszem. A ty masz właśnie buty podkute.

Teraz śmieje się tylko część trupów i to będą ci, którzy nie mają imion.

Ich śmiech jest głośny, jakby chcieli zwrócić uwagę, że jednak nie umarli zupełnie. To echo.

I to nie werble. Krzyk przestrzeni, jakby rwała się chmura dzikiego gniewu i szalał atom.

Palce chcą dotknąć szaleństwa, lecz napotykają tylko na martwy refren melodii. Wojna? — —

(wycinek ciebie, trochę ziemi, pomnik, przekreślony milion, a potem — czy śmiech, czy epos?)

Nie zatrzymuj się: hamujesz bieg innym.

Jest wielki wóz gwiazd nieruchomych, które dźwigały popioły poległych.

Ciebie tam nie ma.

Jest błysk, może zimny, lecz żywy.

CIEŃ

Kiedy płaczę — doznaję oczyszczenia. Pławię się w łkaniu, wierząc w jego łagodny cień, który się modli.

Potem oczy prześwietlone dobrem przyjmują świat w ciszy.

Spokój jest smukły jak lilia świeża, której barwa jest delikatna.

Jego cień widzę na ziemi, przeto idę ostrożnie.

Wojno, wojno, — chcę byś była cieniem mego płaczu.

Chcę, bym mogła ominąć cię, całą moją młodością cię przekreślić, wyrzec się ciebie, wiedzieć, że nie powrócisz.

Kiedy tak myślę — myśl moja jest modlitwą. I — Boże mój — pachnie przelotną wonią konwalii, które rosły pod sosnami mojego kraju.

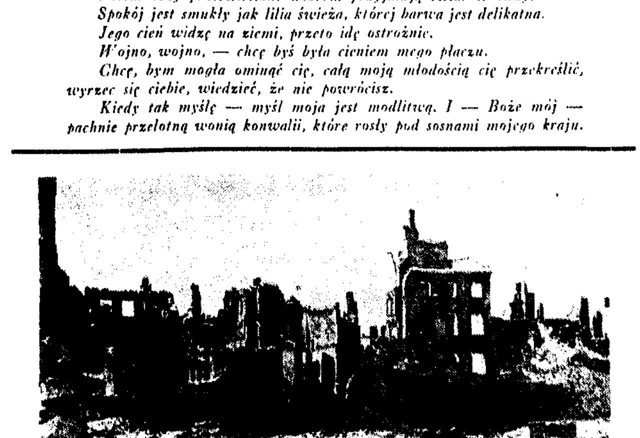

Ruiny Starego Miasta w Warszawie pod śniegiem

TROSKI JĘZYKOWE

Słusznie, nie gęsi...

Interesujący artykuł p. A. Tomickiego pt. „Polacy nie gęsi, też swój język mają", zamieszczony w „Orle Białym" z dn. 4 lutego, wymaga kilka słów odpowiedzi i uzupełnienia.

Artykuł ten jest wystąpieniem przeciw nadużywaniu przez pisarzy a zwłaszcza naszych dziennikarzy słów pochodzenia łacińskiego i francuskiego, przeważnie znanych już przed wojną, w Polsce.

Jak widzimy, troska p. Tomickiego ograniczona jest do pewnej grupy zawodowej, pisarzy i dziennikarzy, co jest o tyle słuszne, iż ci właśnie ludzie mają spory wpływ na kształtowanie się języka i smaku językowego innych grup społecznych, o tyle zaś niesłuszne, iż wpływ ten nie jest ani jedyny, ani zasadniczy. Nie wiem, czy p. Tomicki potrafiłby wskazać jakieś dzieło literackie czy artykuł, napisany np. w Londynie, w którym byłyby użyte takie słowa, jak np. **bas**, „**autobus**" (ang. **bus**, skrócone z **omnibus**), **szelter**, „**schron**" (**shelter**) czy **tjub** (**tube**) „kolejka podziemna" (**tube**), jakkolwiek są one dość częste w codziennym języku Polaków londyńskich. Tutaj napór obczyzny jest bezpośredni i bynajmniej nie obciąża literatów ani dziennikarzy.

Sprawę nadużywania obczyzny w naszym języku można oczywiście we właściwy sposób postawić i rozważać jedynie przy uwzględnieniu zmian i prądów panujących we wszystkich środowiskach emigracyjnych, a przede wszystkim w Polsce. I tak na przykład koła rządzące Polską starają się usunąć tytuły towarzyskie i urzędowe, **pan, pani**, jako, w ich pojęciu niedemokratyczne, i wprowadzić na ich miejsce długie, trzy-cztero-zgłoskowe tytuły **obywatel, obywatelka**, oczywiście idąc za wzorami rosyjskimi. Co koła te zamierzają zrobić z urzędowym terminem **panna**, tj. kobieta niezamężna, trudno ustalić, ale to już tylko uwaga na marginesie. W Polsce, i to jest najważniejszą sprawą z zakresu obcego wpływu na język polski w dobie obecnej, wprowadza się teraz drogą zachęty urzędowej lub przez instytucje państwowe cały szereg wyrazów i wyrażeń, wzorowanych na terminologii sowieckiej. Gdyby nawet zjawisko to miało być ograniczone do stosunkowo niewielkiej ilości wyrazów itp., objąć by miało w zasadzie znakomitą większość narodu polskiego, wobec czego wszystkie inne zjawiska bledną.

Najbardziej doniosłą sprawą jest kwestia jedności języka polskiego wszędzie tam, gdzie jest mówiony. To jest pierwsza właściwa podstawa do walki z **dywergującymi** elementami.**szelterem**, itd. Na przykład: Przeciw **szelterowi** należy argumentować tak: istnieje wszystkim Polakom znane (i nb., ale to już rzecz drugorzędna, poręczne w swej krótkości i prawidłowo zbudowane) słowo **schron**; słowa **szelter** nikt w Polsce czy w ogóle poza Anglią nie używa, wobec czego pierwszeństwo ma **schron**. Gdyby w Polsce, wskutek różnych zabiegów urzędowych słowo **pan** miało wyjść z użycia, co oczywiście wymagałoby kilkudziesięciu lat, stanęlibyśmy wobec przykrej konieczności kapitulacji albo stania się rezerwatem archaizmu, który dla młodszych polskich pokoleń w Polsce miałby śmieszne zabarwienie **waszecia** lub **aspana**.

I w dalszej fazie rozumowania na temat słów **szelter-schron** sprawa obcego pochodzenia jest rzeczą drugorzędną. Jeżeli bowiem pierwszy argument wiązał się z chęcią utrzymania jedności języka niejako w przestrzeni, języka jako dobra całego narodu, drugi wiąże się z chęcią obrony tejże jedności w czasie: zbyt częsta zmiana nie jest pożądana, i jeżeli przed kilku laty używaliśmy wyrazu **schron**, to nie ma powodu, abyśmy dziś przerzucali się na **szelter**. Powie ktoś, że ta zmiana ani nie jest ogólnym faktem, ani nie ma szans utrwalenia się w języku, ale na to usłyszy odpowiedź, że sprawę języka polskiego na obczyźnie należy brać i długofalowo i krótkofalowo, a przy długofalowym podejściu można spodziewać się takiego nasilenia zjawisk, które dziś występują marginesowo, o jakim dziś nie mamy jeszcze pojęcia.

Przytoczone przez p. Tomickiego obce słowa są na ogół pochodzenia łacińskiego i francuskiego. Jednak w środowisku polskim w W. Brytanii zaczynają się trafiać takie „anglicyzmy" jak np. **Leghorn**, nazwa jednego z miast włoskich, zamiast tradycyjnie przez nas używanej postaci włoskiej, **Livorno**, albo **Burma**, zamiast dawniej powszechnych, **Birmy**, czy **Birmanii**, nie mówiąc już o wyżej przytoczonych wyrazach z języka codziennego: **bas, szelter, tjub** itd. Jak daleko zjawisko to może posunąć się w języku tych ludzi, którzy znaleźli lub znajdą zatrudnienie w różnych gałęziach gospodarki brytyjskiej, trudno w tej chwili określić, ale przejmowanie przez robotnika np. obcej terminologii fachowej, nazw przyrządów, narzędzi, czynności itd., jest zjawiskiem aż nadto częstym i aż nadto naturalnym.

Mogą tu nieco zaradzić słowniki zawodowe, szkolenie w terminologii polskiej, itd., ale argumentując przeciw przejmowaniu obcych nazw narzędzi itd., należy przede wszystkim wskazywać, iż nie są one znane w Polsce, co w przyszłości, po powrocie, może doprowadzić do pewnych trudności w porozumieniu a może nawet i lekkich tarć. Oczywiście nie należy — p. Tomicki tego nie czyni, jakkolwiek niektóre użyte przezeń słowa są już dość niepokojące — walczyć ze zbędnym słowem przy pomocy przesadnej terminologii jak np. „obce chwasty", „wtręty", „wstrętne anglicyzmy, latynizmy, gallicyzmy" itp.

Zjawisko nadużywania słów pochodzenia łacińskiego i francuskiego, nie jest u nas rzeczą nową. Można wskazać, iż już w XVII w. i przynajmniej pierwszej połowie XVIII język polski uległ poważnemu napływowi latynizmów. Stanisław Żółkiewski używał wyrazów: **cyrkumstancja, defensje, legacja, rezystencja** itp. Pasek — **piktura, wiktoria, wiktyma** itp. Ks. Kitowicz — słów: **adwersarz, aktualny**, „rzeczywisty, faktyczny", **anniwersarz, frukta** świeże ogrodowe, **independencja, kontradykcja, lukta, sciencja, sentencja**, „wyrok", **suspicja**, itd. Więc wszystko to już było. I przeminęło. Rodzime odpowiedniki utrzymały się i zwyciężyły. Na los Polski sprawa ta wpływu nie miała. Anglicy, którzy mają wielką obfitość słów obcego pochodzenia, radzą sobie w dziejach lepiej niż my. Tylko chęć dania zadośćuczynienia współczesnemu poczuciu językowemu skłania nas do powiedzenia sobie, iż był język polski w opałach już nie raz i nie dwa razy, lecz zawsze wyszedł z nich zwycięsko, mamy więc wyraźny powód, aby w pesymizm nie popadać.

Co się tyczy twierdzeń p. Tomickiego, stanowczo należy zastrzec się przeciwko poglądowi, jakoby angielszczyzna była stopem francusko-niemieckim. Prawdą jest, że plemiona anglo-saskie, stanowiące zasadniczy zrąb narodu angielskiego, przybyły tu z terenu dzisiejszych Niemiec północno-zachodnich, ale wówczas naród niemiecki jeszcze nie istniał, tylko szczepy germańskie. Gdyby język polski nasiąkł był tak obficie słowami francuskimi jak angielski (począwszy od podboju przez Wilhelma Zdobywcę), nikt nie miałby prawa nazywać polszczyznę stopem francusko-rosyjskim czy francusko-czeskim. Wpływ niemczyzny na angielski jest i dość późny i bardzo nikły, por. np. **hinterland, kindergarten, one-sided** (tłumaczone z **einseitig** tak jak nasz **jednostronny**), czy **plunder**, „plądrować" zawleczone przez żołnierzy angielskich z wojny trzydziestoletniej. Angielszczyzna jest językiem germańskim, obficie przesiąkłym słownictwem obcym, przede wszystkim francuskim i łacińskim, i środkami słowotwórczymi obcymi. W sensie budowy gramatycznej jest jednak — poza słowotwórstwem — zjawiskiem tak rodzimym, jak i polszczyzna.

P. Tomicki zdaje się zachęcać do stworzenia Związku Przyjaciół Języka Polskiego. Ponadto podkreśla konieczność rozważnego i oględnego posługiwania się piórem. I jednemu i drugiemu można tylko przyklasnąć. Można by jednak wysunąć pewną inicjatywę dodatkową. Oto — a mogłoby się tym zająć któreś z pism emigracyjnych — warto by rozesłać dobrze i szeroko opracowaną ankietę językową, która by pozwoliła się zorientować w zakresie, charakterze i rozmiarze zmian językowych zachodzących we wszystkich polskich środowiskach językowych, z kolei zaś — w oparciu o znajomość stanu rzeczy — podjąć jakąś przemyślaną akcję zbiorową o możliwie wyraźnym charakterze pozytywnym.

Artykuł p. Tomickiego jest wyrazem troski człowieka wychowanego w Polsce i skąpanego w dobrej polszczyźnie nie narażonej na ciągłe działanie wpływu obcego. Pamiętajmy jednak, iż jądro zagadnienia leży w kwestii języka pokolenia dorastającego na emigracji, i zapytajmy się, czy pokolenie to ma zapewnione dostateczne warunki poznania języka polskiego i utrzymania jego znajomości na odpowiednim poziomie. Nie wiemy, co nam przyniesie przyszłość, i musimy się nastawić na długofalową politykę językową o ustalonych hasłach, sposobach postępowania i celach. Inaczej, przykrócimy może pewne wybujałości stylu, ale przegramy rzeczy znacznie ważniejsze.

St. Westfal

* * *

W związku z powyższym artykułem pragnę wyjaśnić nieporozumienie dotyczące mego określenia języka angielskiego „jako stopu dwóch zupełnie odmiennych języków". Otóż jak wynika z całości odnośnego ustępu mego artykułu, zgoła nie zamierzałem twierdzić, że język angielski jest stopem dzisiejszych języków niemieckiego i francuskiego. Niemcami Polacy określali w ogóle szczepy germańskie, i to nie od dzisiaj. Używam zresztą wyraźnie dalej określenia „pochodzenia germańskiego czy romańskiego", ażeby właśnie zaznaczyć nie dzisiejsze źródło słownictwa angielskiego.

Z TEKI RYSOWNIKÓW

ST. WESTWALEWICZ **Dziewczyna**

Godzę się bardzo chętnie na ujęcie p. Westfala, że „angielszczyzna jest językiem germańskim, obficie przesiąkniętym słownictwem obcym, przede wszystkim francuskim i łacińskim, i środkami słowotwórczymi obcymi".

Właśnie o to chodzi, z tą tylko różnicą, że p. Westfal położył nacisk na germańskość języka angielskiego. Tym niemniej w skład jego wchodzi tyle pierwiastków obcych a zwłaszcza francuskich i łacińskich, że użycie słowa „stop" nie jest chyba zbyt jaskrawe. Stopem nazywamy zlanie się pierwiastków ilościowo nie koniecznie równych. Brąz np. jest stopem miedzi i cyny, chociaż miedzi jest w nim znacznie więcej i ona nadaje mu w gruncie rzeczy połysk i barwę. I nie chodzi tu również o czas, w którym się ten proces dokonał. Stop może być świeży, a może być dawny. Gdyby język polski tak obficie, nawet w zamierzchłych czasach, nasiąkł obcymi słowami, jak właśnie ten germański, który dzisiaj po tym nasiąknięciu nazywamy językiem angielskim, nie zawahałbym się również, jeżeli chodzi o pochodzenie słownictwa, nazwać go stopem. W tym słowie wyraża się całkowite zestrojenie się odmiennych pierwiastków!

Czy wpływ **dzisiejszej** *niemczyzny na język angielski już ukształtowany jest duży czy nikły — chętnie wierzę, że jest nikły — wcale to nie osłabia mego twierdzenia, że może on sobie pozwolić bez zniekształcenia na pożyczki nawet z dzisiejszego języka niemieckiego czy francuskiego z tego powodu, że takie pożyczki spotkałyby się głównie z pokrewnym sobie słownictwem i dlatego łatwo zostałyby przyswojone, i tak by nie raziły. Pisałem: „Może sobie pozwolić"!! Jeżeli sobie nie pozwala, tym lepiej.*

Ale język polski — moim skromnym zdaniem — na to sobie pozwolić nie może, i to właśnie dlatego, że aczkolwiek już w rozmaitych okresach niejedno sobie słowo z obcych języków pożyczył, nigdy nie działo się w takich rozmiarach, ażeby np. można powiedzieć chociażby słowami p. Westfala, że jest językiem słowiańskim, który „obficie nasiąknął" językiem francuskim, łacińskim, germańskim czy jakimkolwiek innym. W porównaniu z językiem angielskim, jeśli chodzi o pochodzenie słownictwa, język polski jest mimo wszystko językiem jednolitym, a język angielski nie jest jednolity, i na to nikt nic nie poradzi, nawet rodzima budowa gramatyczna, o czym zresztą wcale nie pisałem. Nie o to mi bowiem chodziło.

Do spraw obcych wyrazów w języku polskim jeszcze powrócę — nie mogąc zresztą ukryć zadowolenia z echa jaki artykuł mój wywołał. Nie chodzi mi bowiem wcale w tej dziedzinie o „epizment" (najnowsze obce słowo, którego ja przynajmniej w języku polskim przedtem nie spotykałem, a którego zaczęła używać niedawno jedna z polskich agencji prasowych.) Wprost przeciwnie! Jako niefachowiec w dziedzinie językoznawstwa opieram się rzecz prosta raczej na wyczuciu pisarza niż na argumentach naukowych, ale niezmiernie rad jestem, jeżeli fachowcy, nawet wytykając mi w danym razie możliwe nieścisłości, skoro już tak śmiało zapuszczam się w ich dziedzinę, zechcą mi dopomóc.

A. Tomicki

O przyszłość naszych dzieci

W czasie minionej wojny na łamach prasy polskiej na obczyźnie zjawiało się od czasu do czasu zagadnienie nauki młodzieży polskiej znajdującej się poza krajem. Młodzież ta, czy to w Szkocji, czy w Palestynie wiodła życie obozowe, bowiem nasze władze uważały, że musimy mieć jak najpokaźniejsze siły zbrojne, gdyż w chwili zwycięstwa liczyć się będzie tylko zbrojny wkład w wojnę, ilość przelanej krwi.

Młodzież ta po kursie gimnazjalnym szła do wojska lub kończyła licea ogólnokształcące. Polskie licea. Do innych nie mogłaby chodzić, bo nauka angielskiego w gimnazjum była nie wystarczająca dla opanowania języka tak, by móc w nim studiować. Jedynym argumentem przemawiającym za tym czysto polskim wykształceniem była początkowo nadzieja szybkiego powrotu do Polski, wobec czego nie należało rezygnować z systematycznego wykształcenia polskiego. Ale mimo, że nadzieja ta bardzo prędko zgasła, mimo iż od r. 1941 widoczne było, że wojna potrwa parę dobrych lat — nie zostały poczynione żadne zmiany w programie szkolnym, aby młodzież mogła kształcić się fachowo. Istniało co prawda na terenie wojska w Palestynie parę szkół zawodowych. Nie stać nas było jednak na odpowiednie warsztaty i sprzęt, ani na obsadę nauczycielską na poziomie zawodowych szkół, toteż wyniki były słabe. Kilkudziesięciu chłopców zostało skierowanych do technicznych szkół angielskich w Johannesburgu i Capetown — był to jednak ułamek procentu. Parę tysięcy młodzieży na Bliskim Wschodzie oraz parę set młodzieży w W. Brytanii, dochodząc do lat 18 — 20, nie posiadało fachu, nie znało obcego języka.

Kilka osób, ze zrozpaczonym uporem domagało się, aby młodzież szła do szkół zawodowych brytyjskich. Były to matki, które miały dzieci i widziały konieczność prędkiego dania im fachu do ręki w czasach dla Polaków jakże niepewnych. Ale władze szkolne nie zrobiły nic, aby to ułatwić. Trzymając się kurczowo programów przedwojennych, zaspokajaliśmy interesy zawodowe nauczycieli szkół średnich z krzywdą młodzieży, której polska szkoła średnia nie dawała fachu do ręki.

Owszem, władze szkolne pomogły sporej gromadce w dostaniu się na wyższe studia do Rzymu, Bejrutu, Edynburga, czy Londynu, gdy parcie owej młodzieży na uniwersytety okazało się silniejsze niż szablon: „polska szkoła — polskie wojsko". Ale był to procent niewielki. Cała masa młodzieży pozostała bez wykształcenia zawodowego. Nie zrobiono dla niej nic, nie uruchomiono poradnictwa zawodowego, nie zorganizowano gruntownej nauki języka. Rutyna paczyła życie.

Zrobiliśmy tak, mając wszystkie ułatwienia: duże pieniądze oraz swobodę kierowania młodzieży do szkół, jakie się nam wydawały dobre.

Obecnie możliwości te odpadły.

Należałoby przypuszczać, że doświadczenie powinno było nauczyć nas — dorosłych. Tymczasem cóż się dzieje w roku 1947, już nie z tymi, którzy pokończyli gimnazja i licea, ale z tymi, którzy są właśnie w wieku przedszkolnym i szkolnym? Z tymi paroma tysiącami nieletniej młodzieży polskiej mieszkającej obecnie w W. Brytanii?

Młodzież ta dzieli się na dwie grupy: dwie trzecie znajduje się w obozach cywilnych i wojskowych, jedna trzecia mieszka poza obozami, w domach rodzinnych. W obozach poza koniecznymi przedszkolami i szkołami powszechnymi istnieją nadal jedynie gimnazja i licea ogólnokształcące. O ile naturalnym jest, że kończą je uczniowie i uczenice klasy 3-ej i 4-ej, o tyle absurdem jest otwieranie klas pierwszych i drugich, do których przyjmuje się nieraz młodzież powyżej 16 lat. Zamiar prowadzenia nadal szkół ogólnokształcących należy poddać szybkiej rewizji.

Jeśli idzie o naukę języka angielskiego, to nie ma jej pewnie wcale w szkołach powszechnych, chociaż niektóre z nich są w W. Brytanii od paru miesięcy. W jednym z obozów opiekunka społeczna, mająca przyjazne stosunki z miejscową ludnością, otrzymała zgłoszenia kilku Angielek, pragnących bezpłatnie uczyć języka. Polskie władze oświatowe nie zgodziły się na to. W ich planach, gdzieś daleko, jest również i nauka angielskiego, ale nauczycielami mają być osoby płatne. Więc niech czas płynie, niech młodzież próżnuje — zaofiarowanych lekcji się nie przyjmie, aby nie stwarzać „precedensu" bezpłatnej nauki. Nie uczy się angielskiego również i większość młodzieży gimnazjalnej, nie zgrupowanej dotychczas w obozie, który posiada gimnazja. Te rozproszone dziewczęta i chłopcy nie robią nic, mają czas całkowicie wolny i oczywiście demoralizują się coraz bardziej.

Nie ma więc powszechnej metodycznej nauki angielskiego dla młodzieży — mimo że istnieje dla wojska i dorosłej ludności cywilnej. Kraj bogaty w kulturę, kraj mogący tyle nauczyć, istnieje obok, zamknięty dla niechętnych osowiałych głów. Ile z tego niesprawiedliwych sądów, wzajemnego niezrozumienia — któż zdoła obliczyć?

Jeśli idzie o wykształcenie zawodowe, Brytyjczycy nie pozwalają obecnie na tworzenie szkół zawodowych, zamykają już istniejące gimnazjum kupieckie w Glasgow, przybyłe z Włoch gimnazjum mechaniczne itp. uznali tylko jedyne — gimnazjum morskie. Ponieważ wiek szkolny młodzieży brytyjskiej wynosi 15 lat, istnieją dane na to, że młodzież powyżej tego wieku zostanie zabrana do pracy bez uwagi na to, czego pragnie się jeszcze nauczyć. W tak zarysowanych warunkach ze strony polskiej nie ma żadnej oficjalnej koncepcji szkolenia młodzieży. Gdyby była, gdyby była rozsądna — to znaczy uwzględniała interesy młodzieży polskiej oraz wymagania społeczności brytyjskiej — jest pewne, że gospodarze przyjęliby ją, pomogli w jej wykonaniu. Ale, gdzież jest ta koncepcja?

Zanim w II-ej części tego artykułu podamy pewne sugestie zorganizowanego kształcenia młodzieży polskiej, należy rozpatrzyć jeszcze sprawę młodzieży poza obozami, uczącej się w przedszkolach i szkołach angielskich. Karol Zbyszewski w swej książeczce „Polacy w Anglii" twierdzi, że nie asymilujemy się zupełnie z otoczeniem, że tworzymy polskie getto w miejscowym społeczeństwie. Dorośli — tak. Ale dzieci — przeciwnie wynaradawiają się bardzo szybko. Nie poruszamy tu sprawy dzieci z małżeństw mieszanych, bo to jest nie do uratowania. Największej szumu robiący młodzi ludzie, którzy chełpią się patriotyzmem, zwący za czasów narzeczeńskich swą Beryl czy Doris Jadzią czy Kasią — mówią do swych dzieci tylko po angielsku.

Ale większość małżeństw czysto polskich robi to samo. Mała Basia rozpozna z fotografii wybitne postaci angielskie ze zmarłymi włącznie, ale nic jej nie mówi podobizna Kościuszki. Leszek modli się, cieszy, smuci, kocha, gniewa — po angielsku. Inteligentni i zamożni rodzice, nawet ci, którzy mają tylko jedno dziecko — nie mogą porozumieć się z nim po polsku. A im bardziej wykształceni i bardziej zamożni rodzice, tym wynarodowienie większe. Im bardziej nieuczeni, im bardziej oddani ciężkiej pracy — tym naturalniej, tym prościej rozumują, że polskość ich dzieci jest ich obowiązkiem. Nawet nie rozumują, jest to instynkt, nie zagłuszony głosami „ważnych" spraw.

Emigracja polska nie zdobyła się przez całą wojnę na założenie w Londynie polskiego żłobka, przedszkola i szkoły powszechnej, które pomogłyby zapracowanym rodzicom. Jedyne przedszkole otwarte dwa lata temu, choć nazywa się polskie, ma wszystkie wychowawczynie i nauczycielki Angielki, polskość jego reprezentują właściciele oraz sprzątaczka, językiem obowiązującym jest angielski.

Młodzież, uczęszczająca do angielskich szkół powszechnych i średnich, nie umie płynnie czytać, ani pisać po polsku. Jedynie Koło Przyjaciół Harcerstwa prowadzi od 4 lat polskie kolonie letnie i zimowe, systematycznie organizowane wraz z kursem szkoły powszechnej dla kilkudziesięciorga dzieci. Ale dla dziecka do lat czterech nie było i nie ma nawet tego.

Jak widać z nakreślonego obrazu, młodzież nasza w W. Brytanii rośnie w dwóch skrajnie sprzecznych warunkach. Jedna jej część w polskim zaczarowanym kole; druga część w środowisku angielskim.

I jednej i drugiej tak zorganizowaliśmy życie, aby straciła poczucie rzeczywistości: **że jest młodzieżą polską mającą współżyć ze społeczeństwem angielskim.**

Za stan taki są odpowiedzialni: rodzice, polskie szkolnictwo, opieka społeczna, oraz całość społeczeństwa emigracyjnego. Ma ono obfitą prasę i powinno domagać się wykonania rzeczy słusznych.

A. H.

UNIWERSYTET D. P. w Monachium

Prasa całego świata szeroko opisywała jedyny w swoim rodzaju uniwersytet, Uniwersytet D.P. w Monachium. Zorganizowana dzięki niesłychanemu uporowi i wysiłkom Polki, p. Gaszyńskiej, uczelnia skupiła profesorów i studentów w parę miesięcy po odzyskaniu wolności. Zarówno personel naukowy tej placówki jak również studenci wielu narodowości, byli to w olbrzymiej większości więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych: pobliskiego Dachau i in.

UNRRA początkowo odniosła się przychylnie do inicjatywy p. Gaszyńskiej. Dzielnej Polce udało się zdobyć najniezbędniejsze pomoce naukowe, środki na doprowadzenie gmachu do porządku, wreszcie zapewnić profesorom i słuchaczom minimalne środki utrzymania. Trzeba tu dodać, że nie pozbawiony symbolicznego znaczenia był fakt, że uniwersytet mieścił się w gmachu Deutsches Museum w Monachium, w gmachu, który przez lata panowania Hitlera był świątynią „narodowo - socjalistycznej sztuki niemieckiej".

Znane metody UNRRA wobec przymusowych przesiedleńców sprawiły, że placówka, zorganizowana takim nakładem sił i energii inicjatorów, profesorów i studentów, stanęła w obliczu zagłady. Przede wszystkim, ograniczono do minimum racje żywnościowe dla studentów i profesorów pod pretekstem, że powinni oni mieszkać w obozach. Ostatnio zaś całkowicie cofnięto przydziały żywności, profesorom i studentom kazano wracać albo do ich krajów macierzystych, albo za druty obozów, wydano również nakaz zamknięcia uniwersytetu, przekazania gmachu Niemcom oraz zwrotu tym że Niemcom zdobytych z takim trudem mikroskopów i innych pomocy naukowych.

Studenci postanowili sprzeciwić się tym zarządzeniom UNRRA, uważając je za niczym nieusprawiedliwione. Urządzili masowe demonstracje i manifestacje przeciw tym rozkazom i zapowiedzieli stanowczo, że ich nie wykonają, nawet pod groźbą użycia przemocy.

Zdecydowana postawa studentów przełamała stanowisko UNRRA, która pod naciskiem tych demonstracji zmuszona była odwołać wydane poprzednio nakazy. Odwołano likwidację Uniwersytetu D.P., przywrócono żywność profesorom i studentom, zgodzono się na pozostawienie pomocy naukowych w dotychczasowych pomieszczeniach.

Nieco inne szykany zastosowano we Frankfurcie wobec studentów — przymusowych przesiedleńców, bądź więźniów obozów koncentracyjnych. Tutaj odmówiono studentom wydawania suchego prowiantu i UNRRA zarządziła, by wszyscy studenci trzy razy dziennie przyjeżdżali do specjalnej stołówki na posiłki. I tutaj nie odbyło się bez manifestacji, zakończonych wreszcie strajkiem głodowym studentów. Studenci przerwali wreszcie strajk głodowy po uzyskaniu od miejscowej UNRRA pewnych ustępstw. Na szczęście studenci nie poniosą strat w nauce, gdyż uczelnie frankfurckie nie są czynne wskutek mrozów.

Polskie studia w W. Brytanii

Referując w Izbie Gmin Ustawę o Rozmieszczeniu Polaków min. Eden zapowiedział, że studia akademickie Polaków w W. Brytanii będą scentralizowane. Będzie utworzony t.zw. Polish University College w Londynie z 1350 miejscami. Program nauk będzie odpowiadał programom brytyjskim. Będą trzy wydziały: inżynierii, architektury i nauk ekonomicznych. Studia przewidziane są dla tych, którzy zamierzają pozostać na stałe w W. Brytanii lub emigrować do Dominiów albo kolonii brytyjskich. Warunkiem przyjęcia kandydatów będzie przynależność do PKPR i uprzedni rok służby w Polskich Siłach Zbrojnych pod dowództwem brytyjskim, a dla osób cywilnych — co najmniej rok pracy w zawodach ważnych dla państwa. Studenci będą otrzymywali, oprócz zapłaty czesnego, od 180 do 240 funtów rocznie.

Wyspiański to tylko inżynier

Żywy zawsze, ruch intelektualny czeski wyraża się w szeregu czasopism, które według przepisu naczelnego publicysty Wacława Czernego dają obraz świata „nie taki, jakim jest, ale jakim być powinien". Stąd w dyskusjach ideologicznych — tak samo zresztą jak we wszystkich krajach sowieckiego systemu — panuje zupełna martwota. „Kulturnu Polityka", naczelny organ literacko-społeczny reżimu, jest pisemkiem o zupełnie prowincjonalnym zakroju. Toteż dużym wydarzeniem w czasopiśmiennictwie czeskim stało się wznowienie „Slovansky'ego Prehleda", jednego z najpoważniejszych przed wojną pism, poświęconych kulturze narodów słowiańskich. Założony w r. 1899 przez Adolfa Cernego, zamknięty w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej, wznowiony po jej zakończeniu i w r. 1939 zamknięty ponownie. „Slovansky Prehled" miał ambicję zrzeszania całego świata naukowego narodów Europy środkowej. M. in. najstarszymi współpracownikami pisma byli Polacy: Baudouin de Courtenay, Piotr Chmielowski, Wilhelm Feldman, Tadeusz St. Grabowski, Ferdynand Hoesick, Władysław Mickiewicz, Marian Zdziechowski i in.

Po raz trzeci przywołane do życia, pismo, które niegdyś było wzorem rzeczowości w traktowaniu zagadnień i szerokiej rozpiętości tematycznej, przekształciło się w skromny biuletyn, w którym znajdziemy informacje urzędowe z zakresu gospodarki, polityki i pracy tzw. Komitetów Słowiańskich w poszczególnych krajach. Nauka, literatura i sztuka narodów słowiańskich przestały widocznie istnieć, skoro pismo ich nie dostrzega. Choć owszem znaleźć możemy poważne rozprawy i z tego zakresu, np. o Gorkim, Bakuninie. Ale to wszystko. Dział polski jest dosyć obszerny, ale sądy w zakresie polskich zjawisk artystycznych urągające niekiedy ogólnie przyjętym stwierdzeniom. Tak np. z artykułu o teatrze polskim dowiedzieć się możemy, że „Wyspiański to tylko inżynier, ale nie myśliciel". Twórca, który stworzył typ dramatu — nowy w skali europejskiej, którego idee artystyczne dziś dopiero zaczynają na Zachodzie nabierać aktualności — dla sprawozdawcy „Slovansky'ego Prehleda" jest tylko jednym z tych „reformatorów sceny", jakich po tamtej wojnie Europa liczyła na dziesiątki. Ale w świecie, w którym ciasnotę w sprawach kultury zwykło się przezywać nęcącym słowem „aktyw kulturalny", pisarz tego typu, który dziś tak samo jak przed ćwierć wiekiem zdolny jest aktywizować psychikę narodową, jest po prostu — niebezpieczny.

Maska z kości słoniowej (Afryka Centralna)

NOWE KSIĄŻKI

JĘDRZEJ GIERTYCH: Polityka polska w dziejach Europy. Tom I: Epoka pierwszych Piastów — Epoka walki z Zakonem Krzyżackim — Epoka Jagiellońska. Str. XII + 453 + 3 nlb. Londyn. 1947.

LEON BLUM: Na miarę człowieka, szkice polityczne. Z portretem autora. Str. 139 + 1 nlb. Instytut Literacki. Rzym. 1947.

BRONISŁAW KAMIŃSKI: Obraz człowieka, poezje. Str. 126 + 2 nlb. Paryż. 1947.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI — JAN ULATOWSKI: Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej. Str. 198 + 2 nlb. Instytut Literacki, Biblioteka Społeczno-Polityczna. Rzym. 1947.

WITOLD IPOHORSKI - LENKIEWICZ: Granice Polski. Z przedmową JULIUSZA PONIATOWSKIEGO. Str. 32. Nakładem Związku Polaków we Włoszech. Biblioteka Wolna Trybuna nr 1. Rzym. 1947.

WACŁAW IWANIUK: Dni białe i dni czerwone, dziennik poetycki. Okładkę projektował STANISŁAW NICZEWSKI. Str. 2 nlb. + 44 + 2 nlb. Wyd. Klon. Bruksela. 1947.

TADEUSZ KLONOWSKI: Powrót, powieść. Str. 202. Nakładem autora. Jerozolima. 1946.

Malarstwo hiszpańskie w Londynie

Londyn jest dziś równie ważnym ośrodkiem kultury jak Paryż. Pod szarą, chropawą skorupą tego 8-milionowego olbrzyma płynie silny strumień życia intelektualnego. Ogniskami kultury, które cieszą się największym bodaj powodzeniem wśród szerokiej publiczności są galerie londyńskie. Wstęp kosztuje niewiele, często nic, sale są na ogół ogrzane, więc londyńczycy — szczególnie tej zimy — garną się gromadnie na wystawy.

EL GRECO — Portret kobiety w futrze

Jedną z najbardziej interesujących na przestrzeni kilku miesięcy jest wystawa malarstwa hiszpańskiego w National Gallery. Zgromadzono tu zaledwie 41 obrazów, lecz są to wybitne dzieła artystów, z których każdy wniósł do sztuki albo jakieś nowe wartości indywidualne, albo też reprezentuje oddzielny kierunek. Jedynie „Dziewczyna z tamburinem" Ribeiry jest dziełem, które nie wykracza poza poziom przeciętności, ale też jest to najsłabszy obraz na wystawie. Nawet Murillo, znany niestety najbardziej ze swych ckliwych i teatralnych Madonn, artysta, który zapoczątkował erę słodko-sentymentalnego malarstwa kościelnego, tutaj pokazany został w serii dzieł pełnych wdzięku i prostoty, utrzymanych w pięknym gorącym kolorycie.

Płótna Velasqueza są z trzech okresów jego twórczości: wczesne z okresu szkoły sevillskiej, bardzo realistyczne, dość twarde i zimne, późniejsze z okresu podróży do Italii, kiedy artysta maluje wspaniały portret Filipa IV, Olivareza itd. na których widać wyraźny wpływ Tycjana i wreszcie z okresu trzeciego — drugiej podróży do Włoch, ukoronowanej leżącą Wenus z lustrem, malowaną miękko, ciepło i prawie bez światłocienia.

El Greco — Domenikos Theotokopulos, Grek z pochodzenia i uczeń Tintoretta, jest chyba najbardziej charakterystycznym malarzem wybujałego mistycyzmu hiszpańskiego. Jego schizofreniczni, egzaltowani święci, oblani zimnym, ostrym światłem, malowani niepokojącymi, zdumiewającymi barwami, sprawiają wrażenie niesamowite. I „Chrystus wyrzucający handlarzy ze świątyni" i „Portret kobiety w futrze" pełne są wewnętrznego, dramatycznego napięcia, tak znamiennego dla El Greca. Jego technika kładzenia farby, rysunek, dynamika kompozycji i dziwaczna, zimna harmonia kolorów, są zjawiskiem w malarstwie zupełnie odosobnionym, mimo to nastrój obrazów jest bardzo „hiszpański".

Równie hiszpański jest Goya, choć jego wizja malarska daleka jest od wysubli[…]wanego mistycyzmu El Greca i chłodn[…] obiektywizmu Velasqueza. Wspaniały p[…]tret Karola IV, doskonały w kolorze, [...] ostrą satyrą, prawie karykaturą. Scena [...] sztuki „Zaczarowany człowiek" jest z p[…]niejszego okresu „caprichos", z okresu, [...] Goya zaczyna malować swe niesamowi[…] makabryczne groteski.

Ani Velasquez, ani El Greco, ani Go[ya] nie stali się założycielami szkół malarsk[ich]

GOYA — Portret Donii Anton[…]

— nie mieli swoich naśladowców. Po ni[ch] następuje okres upadku. Uczniowie Muri[l]la, Zurbarana i Ribeiry podtrzymują trad[y]cję szkoły sevillskiej i brną coraz głębi[ej] w naturalizm i prostackie naśladowanie rze[c]czywistości. Przełamie tę tradycję dopiero wielki rewolucjonista formy malarskiej, Pablo Picasso.

* * *

Wiemy jak głęboki wpływ na Picassa wywarła rzeźba murzyńska, dlatego też nie od rzeczy będzie wspomnieć o wystawie sztuki prymitywnej w Berkeley Gallery. Właściwie trudno to nazwać sztuką prymitywną, gdyż niektóre rzeźby, jak np. wspaniała maska z kości słoniowej z Benin, są dziełami wyrafinowanego i subtelnego smaku. Niemniej jednak jesteśmy tu jak gdyby u źródła pierwszych wzruszeń plastycznych, które w rzeźbie murzyńskiej przybrały bogatą i różnorodną formę. Człowiek prymitywny tworzy — nie odtwarza. Tworzy idee, tworzy symbole, zamknięte w czystą formę plastyczną.

Maski z drzewa i włosia z Nowej Irlandii, czy z Konga, zbudowane z samych prawie składników geometrycznych, z ornamentem biało - czerwonym, wywierają grozę śmierci znacznie silniej niż Dührerowskie kościotrupy z kosami. „Kobieta z Sudanu" jest jakby symbolem l'éternel féminin, z ogromne piersi, krótkie nogi, brzuch pokryty ornamentem. Na nogach ma wyrzeźbione bransoletki, szyja wydłużona przez naszyjniki - obrecze. Głowa bardzo piękna i wyszukana w formie, z twarzą lekko, szkicowo tylko zaznaczoną, za to kolczyki w uszach i uczesanie — ujęte jako czysty ornament linearny. Rzeźba jest z czarnego hebanu, a więc z materiału twardego i niełatwego do obróbki, a jednak wszystkie szczegóły są subtelne, zróżniczkowane i doskonale wykończone

Sztuka murzyńska jest prosta, logiczna i surowa. Jest świeża — dlatego też dla wielu niedostępna i niezrozumiała.

Alicja D.

VELASQUEZ — Chrystus w Emaus (fragment)

Aleksander Janta

PODSŁUCH (3)

Opowiadanie

Minęło kilka tygodni. Kazik ważył się z myślami, zastanawiał się długo, aż wreszcie zdecydował się. Tej nocy spróbuje.

Noc zapowiadała się na nowiu ciemna, wiatr na tych podgórskich obszarach zawsze dokazywał po zachodzie. I szum szerokie prowadził i lasem kołysał. Kto by tam słyszał, kto by pilnował Kazika, kiedy przed jedenastą zwlókł się z barłogu już prawie śpiący a nie rozebrany i wyszedł w ten wiatr nocny.

Pusto było przed tartakiem, lasy okoliczne gięły się w podmuchach wiatru, noc głęboką czernią roztopiła kontury i kształty — dał w nie nura, jak w wielki obszar mroku i szumu, w którym człowiek zatraca się bez śladu.

Dobrze znajomą drogą dotarł pod tartak — przygotował sobie w myśli odpowiedź, gdyby go kto naszedł znienacka i zapytał, co tutaj robi, że zgubił swoje papiery i szuka ich; nawet latarkę po to tylko zabrał, żeby powiedzieć, że w jej świetle szuka; ale o zapaleniu jej nie myślał wcale. Dotarł pod ścianę szopy od strony, kędy kiełbiła się w dole spadająca woda, ale teraz, kiedy spuszczono na noc zaporę, już tylko cienkimi strumykami płynęła, bez tego szumu jaki za dnia walił korytem prosto na koło turbiny. Mimo wiatru, dzięki temu milczeniu wód, zwykle mocnych, a teraz zgłuszonych, zdawało się Kazikowi, że jest w około niego zupełna cisza. Przemknął wzdłuż po belce, dotknął okna w biurze, nie bez kniętego umyśl. nie i wskoczył przez nie jak kot. Aparat stał na biurku. Poczekał chwilę, przyzwyczaił oczy do mroku i myśl do tego co robi. A potem przekręcił kontakt. Drobne palanie ogarnęło szklaną tarczę, na której wieńcem wypisane były nazwy stacji. Ciche brzęczenie zaczęło przenikać całą skrzynkę, jak gdyby sama była muzycznym instrumentem. Odezwały się w niej zresztą od razu dalekie takty jakiejś tanecznej muzyki. Nie tego szuka. Posunął wskazówkę. To już nie Niemcy mówią, to jakieś obce głosy. A potem jeszcze inne. Wieża Babel języków. A zaraz obok świergot, jakiego dotąd nie znał. Niby kurtyna dźwiękowa nałożona na głos czyjś, mówiący spoza niej i niezrozumiały. Nawet języka trudno się dosłuchać.

Przesunął wskazówkę jeszcze o włos, o milimetr. Świergot do ćwierkania wróbli podobny, wzmaga się, a potem ustępuje miejsca monotonnej plątaninie dźwięków, brzmiących jak katarynka, powtarzająca z uporem trzy nuty.

Kazik nigdy nie słyszał takich głosów, chociaż przed wojną słuchał radia często. Miell w domu słuchawki z kryształkiem, a poza tym w szkole głośniki, w klubie wioślarskim odbiornik. Ale nigdy odbioru nie hamowały tak regularne przeszkody atmosferyczne. Gwizdało wprawdzie nieraz, ale to tutaj brzmi inaczej. Tknęło go, że to coś wiązanego z wojną, jakiś sygnał tajemniczy i nie rozpoznany. Wsłuchał się weń — całym napięciem istnienia przywarty do tego głośnika, do tego światła przytłumionego, jakie tam świeci we wnętrzu i otwiera dla niego obraz świata dotąd obcego, odgrodzonego przemocą. A przecież stamtąd płynąć powinna otucha i siła, tam szeptają przyjacielskie głosy, tam gdzieś odzywa się Londyn, głos bliskich i sprzymierzonych, tam bije serce braci. Czy aby ono? Tak niedokładnie słychać dźwięk dochodzi zamazany, zacierany uparcie, zasłonięty. Teraz już wie dlaczego. To więc jest inna forma kolczastego drutu i bagnetów, przymusu i zakazu, to jest umyślny hałas, jakim się nieprzyjaciel odgradza od niebezpieczeństw i kus prawdy. Nieuchwytna, subtelna sieć mająca schwytać głos stamtąd, zmiażdżyć go i zniekształcić, by w czystej, wy

raźnej i zrozumiałej formie nie dotarł do żadnego ucha, nie zaspokoił niczyjej ciekawości, nie przyniósł spodziewanej pociechy.

Więc cały jego zamysł ma iść na marne? Całe wzruszenie nasłuchiwania na nic? Próba dotarcia do innego świata się nie udać?

Kręcił teraz wskazówką w tę i tamtą stronę, zniecierpliwiony. Strzępy muzyki, które odsuwał bezlitośnie, brzmienia słów, których nie rozumiał, plątały się gęsto i bezmyślnie. Jak tu wyszarpnąć z tego pałającego dyskretnym żarzeniem się instrumentu polskie słowa, polską audycję? Znów znalazł się na fali zagłuszonej kołomyjką, fali dla Niemców nieprzyjacielskiej, dla niego niosącej być może zwiastowanie prawdy. Znów uchem próbował się przedrzeć przez zasieki tych denerwujących dźwięków. Wzmagały się i gasły, raz słabsze, raz znów mocniejsze. Odezwał się nagle za nimi głos jakiś, bardziej zrozumiały niż inne. Woła Londin — powiedział.

Kazik uzyskał pewność. To więc jest Londyn. Nachylił się, żeby zobaczyć pozycję wskazówki, żeby ją zapamiętać. Poczuł ulgę, odprężenie radosne. Już prawie ma czego szukał. Czeskim językiem, prawie zrozumiałym, tak bardzo bliskim polskiemu, przemawiał do niego ktoś z tamtego świata, niby zwiastun możliwości porozumienia, sygnalista spełnionych nadziei.

Nie zrozumiał dokładnie, ale zgadywał, że to właśnie to, o co idzie. Głos uciekał, chował się za te obce, nienawistne, tłumiące brzmienia, ale wracał znowu, już dobrze schwytany i oswajał ze sobą słuch Kazika, dostrajający się do tej fali, do tych trudności odbioru.

Mijały chwile szybko, intensywnie, naładowane napięciem tego przeżycia, rozsadzające je prawie.

A potem — uszom nie wierzył: — Dobry wieczór Państwu! Tu Polskie Radio na fali Londynu.

Uderzyło mu do głowy wzruszenie. Oparł się o stół, chwycił się aparatu przyciskał do niego ucho — słyszy! Stało się. Speaker wymienia fale na jakich ta polska audycja wybiega w świat i aż tutaj dociera. Jaki głos ciepły, przyjacielski. Jaki podobny do tego, który tak często słyszał w Warszawie. To samo.

A teraz wiadomości. Aliancki komunikat. Boże, co to jest? Uszom własnym nie wierzy. Anglicy zatopili największy pancernik niemiecki „Bismarck". Polski kontrtorpedowiec „Piorun" brał udział w tej akcji. Więc istnieje polska armia w Anglii? I Polacy biją się jeszcze z Niemcami? Więc to jeszcze nie koniec świata? Więc Szwabom nie idzie ani tak łatwo, ani tak gładko, jak się to zdaje. Są, są jeszcze nadzieje. Nasi okażą się górą!

Słuchał o zdobyciu Krety. O stratach niemieckich. O ciężkich walkach. Oho, drogo ich kosztuje to zwyciężanie — pomyślał.

O produkcji amerykańskiej, że rośnie, że wzmaga się z dnia na dzień, i że Stany Zjednoczone dostarczają materiałów wojennych Anglii.

Więc już chyba jako sprzymierzeńca, na którego można będzie liczyć?

O wojsku polskim w tej Anglii. O rządzie polskim. Więc to wszystko naprawdę jeszcze istnieje?

W ciemności dzieciela i zapomnienia błysnęło światło. Rozszerza się. Rośnie. Wtopiło w swój blask Kazika. Pochłonęło jego myśli i świadomość. Daje mu poczucie uzyskiwania w tej chwili jakiejś ogromnej nagrody za wytrzymałość, za wiarę w pomyślność polskiej sprawy, wbrew wszystkim upartym zaprzeczeniom, jakie zaczęły się dla niego od klęski we wrześniu, od bombardowań Warszawy, które przeżył, dotąd śniąc o tym, jako o czasie najwyższych przeżyć, straszliwej wspaniałości i grozy. Ale także o czasie czynu, walki, w której brał udział, bohaterstwa, którego doświadczał patrząc na innych, własnego nieświadom wcale. Wszystko co stało się potem, odebrało mu siłę i możność działania, wtrąciło go w bezwład, w bezmyślność, w tępe trwanie, w życie bez akcji, w monotonię nienawistnej pracy dla wroga, pod przymusem strachu, pod ciężarem nakazów i zakazów.

Tu w tej chwili odzyskał znowu poczucie udziału w wojnie. Odkrył w ciemnościach przestrzeni istnienie sił, które przygotowują zbawienie, które zakończyć się muszą triumfem — wolności. Zwycięstwem sprawy, do której sercem, sumieniem i wzlotami nadziei najżywiej przylgnął. Tak jak teraz słuchem przywarł do tych dalekich odgłosów rzeczywistości, narastającej mnóstwem wydarzeń, o których nikt tutaj nie wie, a które przecież żyją i rosną. I dotrą kiedyś nieznaną siłą, aż tu, do niego, tak jak dotarły w tej chwili na falach radia. I zmienią wyroki losu; zaprzeczą temu przeznaczeniu, co go zepchnęło w upadek, co go wyrwało z ojczyzny, co go tu gnębi pogardą przymusowej obcej nienawiści i obcej woli.

A teraz nadamy z płyt chwilę muzyki polskiej — powiedział w Londynie czysty, ciepły, przyjacielski głos. I rozległy się zaraz — poprzez tłumiący je świergot — dźwięki kujawiaka, że Kazik przerażony chciał zgasić aparat. Ale sciszył jedynie odbiornik aż do samej granicy uchwytności, czuł raczej niż słyszał brzmienie muzyki, aż roztopiła się w próżni, rozwiała się w nicości.

Otrząsnął się. Wyłączył radio. Wycofał się szybko, ostrożnie, przez okno znowu w głąb nocy.

Długo tej nocy nie mógł usnąć, aż Jaś, obudzony jego przewracaniem się, ze snu się wybił i zapytał nagle: — Co tobie, Kazik?

— Nie. Śpij. Jutro ci powiem...

Senność przemogła w Jasiu zaciekawienie.

* * *

Maj dobiegał końca. Dzień był jak każdy inny, tyle, że bardziej letni niż wiosenny. Czas posuwał się ku wieczorowi wolno i mozolnie. Tartak huczał robotą. Rotmistrz zabawił dłużej niż zwykle, dłużej niż zwykle rozmawiał z wachmanem. Kazik czuł w piersi spazmy niepokoju. Jeszcze nikomu nie zdążył powierzyć swego sekretu, który rozpierał mu piersi; starał się tylko zmiarkować po minie Niemców, czy się spostrzegli się przypadkiem, co zrobił. Tak jakby to było włamanie albo rabunek, zostawiający ślady.

Szukał okazji zbliżenia się do Szukowskiego, ale robota tego dnia wypadała Polakom zawsze na osobności, ani na chwilę nie pozwolono jeńcom pracować przy nich.

Spotkał się z Szukowskim przypadkiem w ustępie. Zdążył zamienić tylko kilka słów.

— Słuchałem — rzucił Kazik triumfalnie. — Ty wiesz? „Bismarcka" zatopili Anglicy. A na Krecie olbrzymia bitwa. A w Anglii polskie wojsko.

To było wszystko co najważniejsze, a wyrzucone jednym tchem.

Zdążył dodać jeszcze: — Będę słuchał dalej, co nocy, to wam powiem.

I już się musieli rozstać.

* * *

— Quoi de neuf Chou-Chou? (Co nowego) — pytali koledzy-jeńcy.

Chou-Chou zrobił poważną minę. Zdążył już przetrawić otrzymane wiadomości i docenić w pełni ich wagę, zwłaszcza gdyby Kazik miał im ich dłąd dostarczyć regularnie.

— No? Dowiedziałeś się czego od twoich Polaków?

Zelektryzował ich wszystkich tą nowiną, że mogą mieć teraz wieści przez radio co dnia, prosto z Londynu. Dzięki temu Polakowi — dodał, nieledwie z dumą w głosie. Aha!

Poczuł się od razu najważniejszą w tym towarzystwie osobą. Powiedzą Niemcy o „Bismarcku", czy nie powiedzą? Przyznają się do strat? Gdzieżby tam!

— Będą nas oszukiwać do końca — mówił pesymista Maurice. — Będą nas zwodzić, że zwyciężają, a tu pewnego dnia zobaczysz angielskie wojsko!

— No, no, śmieli się koledzy.

— Już ja wolę tak długo nie czekać — posypały się głosy. Dojrzewa między nimi myśl o ucieczce. Ale wracali jeszcze do tego nowego odkrycia, dającego im jedyną w życiu jeńców szansę dowiadywania się co się dzieje.

— Ty sobie wyobrażasz — mówi Louis, listonosz z Lyonu — że my jesteśmy, być może, jedyni w Niemczech, do których dochodzą wiadomości z Londynu. To doprawdy niebywałe.

Kłócili się, że na pewno nie jedyni, ale ważniejsze było w tej chwili poczucie pokrzepienia tym zastrzykiem nadziei, który przybywał stamtąd, wbrew zakazom i murowem, odcięciu od świata. Zatracili świadomość samotności. Zdawała się im wobec tego łatwiejsza, a całkiem prosta perspektywa wyrwania się także cielesną obecnością z tej niewoli.

— Tego lata spróbuję! — utwierdził się w decyzji ucieczki Maurice. — Tego lata, jak tylko będą jakieś nowe wieści z frontów...

Rozpalił wyobraźnię wszystkich innych. Trzeba było ustalać kolejki, kto pierwszy a kto później.

— Bo po ucieczce pierwszych, następni będą mieli z pyszna. Zobaczycie, co Fryce wymyślą. Będzie coraz trudniej.

— Nie bój się...

Ale obawy wzrosły, kiedy pod wpływem instrukcji, otrzymanych z komendy Stalagu, wachman nie pozwalał jeńcom wchodzić do kwatery na noc inaczej, jak tylko na pół rozebranym, zabierał im spodnie i buty, i zamykał je w szafce w sieni sklecone specjalnie do tego celu. Było to nowe ubezpieczenie przeciw p... słowości jeńców i ich woli wykręcenia się za wszelką cenę. Bez spodni nie pomyśleli Niemcy. A bez butów chodzić i tak niesłób. Paradowali wobec tego w kalesonach, biorąc swoją nową sytuację od strony komicznej.

— Gdzieś tam muszą z pewnością uciekać, to kupują, że tacy się zrobili ostrożni.

Ale był to zarazem bodziec by im teraz wł... pokazać, że uciec można. Jak tylko się nadarzy okazja, Polacy dostarczą ubrań. Chou-Chou już obgadał tę sprawę.

[…] myśla nornszen[…]

Jakie niosła — wyzwolenia, powrotu, wolności.

* * *

Niedziela była czerwcowa, pogoda piękna, lasy chłonął. W niedzielę rano jeńcy musieli sprzątać, sztat, robić porządki w kwaterze, wachman pilnował żeby a do południa zajęcia nie brakowało. Popołudnie mieli wolne.

Tej jednak niedzieli wszystko działo się inaczej, zwykle. Wachman spóźnił się z [...]nzeniem o godzinę. Przyglądali mu się zaskoczeni zmianą. Nie piorunował jak co dnia, nie wyrzucał nikogo z łóżka, raczej po przyjacielsku namawiał a w do tego namawiania słowa, które nieraz brzmiały zywające: „Krieg nichts gut!" — a tego rana akcenty ludzkie, jak gdyby stosował je nie pod sem jeńców, którzy na sobie mieli doświadczenia prawdy, ale także na własny użytek.

(D. c. n.)

W perspektywie tygodnia: Sojusz angielsko-francuski

(t) Podpisany dnia 4 marca 1947 r. sojusz między Anglią i Francją jest — jak to powiedział w przemowie swej francuski minister spraw zagranicznych Bidault — właściwie tylko stwierdzeniem już istniejącego stanu rzeczy. Dwie krwawe i zwycięskie wojny przypieczętowały zbliżenie się Francji i Anglii — zbliżenie, które w dniu 4 marca po raz pierwszy w historii nazwane zostało sojuszem. Sam w sobie nie zmienia on polityki obu państw. Nie zmienia przede wszystkim ich polityki w stosunku do Rosji, z którą oba państwa już przedtem zawarły traktaty, wymienione osobno w tekście podpisanego właśnie sojuszu. Rzecz inna, że Rosja bardzo niechętnym okiem patrzy na ten sojusz.

Traktat wymierzony jest przeciwko możliwości ponownego niebezpieczeństwa ze strony Niemiec i tutaj idzie dalej niż swego czasu zobowiązania Anglii po roku 1918, zawierając przede wszystkim nienzależnioną tym razem od przystąpienia Ameryki gwarancję angielską dla Francji. Jak wiadomo bowiem, po roku 1918 Anglia uzależniała gwarancję od przystąpienia Ameryki, które to przystąpienie nie doszło do skutku.

Sojusz przewiduje poza tym zawarcie paktu „między państwami, na których spoczywa odpowiedzialność powzięcia zarządzeń w stosunku do Niemiec celem przeszkodzenia Niemcom w staniu się ponowną groźbą dla pokoju". Słowa te mają najwyraźniej na myśli zawarcie rozszerzonego paktu między czterema wielkimi mocarstwami: Anglią, Ameryką, Rosją i Francją.

Minister Bevin zastrzegł się wyraźnie w swojej przemowie przeciwko tłumaczeniu sojuszu jako zrębu „bloku zachodniego". „Myślę — powiedział — że Rosja Sowiecka zdaje sobie sprawę, że nie chodzi tutaj o blok zachodni, ale o próbę przyczynienia się do udoskonalenia typu pokoju powszechnego".

Trzeźwo rzecz biorąc, znaczenie sojuszu w chwili obecnej nie zawiera rzeczy nowych. Groźba niemiecka — na razie przynajmniej — zaznaczyć się nie może. Jeżeli chodzi o Rosję, sojusz, jak wspomnieliśmy, niezwykle wyraźnie podkreśla, że w najmniejszej mierze nie zwraca się przeciwko niej, ani też żadnego z państw go zawierających od niej nie oddala. Nie załatwia on też żadnej różnicy zdań, które dzielą zawsze jeszcze Anglię i Francję w poszczególnych zagadnieniach, jak np. chociażby zagadnienie Ruhry. Stwarza on jednak rzecz prosta przychylniejszą dla ich załatwienia atmosferę i ma mimo wszystko — bezpośrednio przed konferencją moskiewską — wyraźne znaczenie, podkreślając stałą, a nie tylko chwilową wspólność interesów angielsko-francuskich. Sojusz zawarty został na lat pięćdziesiąt.

Znaczenie to byłoby dużo większe, gdyby Francja przedstawiała dzisiaj rzeczywisty czynnik siły. W prasie angielskiej sprawę tę poruszył, odmawiając zawarcia sojuszu, bardzo otwarcie, a nawet brutalnie „Daily Express", którego nakład wynosi jak wiadomo przeszło trzy i pół miliona egzemplarzy.

„Politycznie przyszłość Francji — pisze „Daily Express" — nie jest określona. Wiążemy się z państwem, którego stałość jest wątpliwa i którego dążenia są nieznane."

W dalszym ciągu dziennik podaje w wątpliwość siłę militarną Francji, a nawet ducha armii francuskiej.

Niestety rozwój stosunków we Francji dostarcza aż nadto materiału do tego rodzaju zapytań. Piszemy o tym obszernie w niniejszym numerze w artykule „Obawa o Francję". Czyż nie jest charakterystyczne, że od miesiąca prawie z powodu strajku nie wychodzą we Francji dzienniki i stąd nawet nie można się rozejrzeć w prasie francuskiej, ażeby się dowiedzieć, jakie stanowisko zajmuje ona w tak ważnej dla Francji sprawie sojuszu? Wiadomości o tym czerpać można co najwyżej w radio, w którym, nie mogąc pisać, publicyści francuscy wygłaszają krótkie „artykuły".

Mimo to wszystko zawarcie sojuszu francusko-angielskiego jest rzeczą ważną dlatego, że nie zmieniając w rzeczywistości istniejącego stanu rzeczy, otwiera możliwości i wytycza im kierunek na przyszłość. Ale te możliwości uzależnione są właśnie od odrodzenia Francji — a także od przezwyciężenia dzisiejszych trudności przez Anglię. Obydwu rzeczy należy sobie życzyć jak najgoręcej.

Stany Zjedn. wobec zagadnień europejskich

Ten sam korespondent podaje następujące informacje, które mają być dość ścisłym powtórzeniem zaleceń, przedłożonych przez Prezydenta Trumana i gen. Marshalla przewódcom parlamentarnym, i które odnoszą się do stanowiska St. Zjednoczonych wobec poszczególnych zagadnień europejskich:

Grecja: Ameryka powinna interweniować i przyjąć część finansowych zobowiązań W. Brytanii, ale tylko pod warunkiem, że oddziały brytyjskie pozostaną.

Turcja: Kraj związany ze sprawą grecką z powodu nacisku sowieckiego. Zaleca się pomoc gospodarczą.

Francja: Polityczna sytuacja, bardziej niż gospodarcza, uważana jest za groźną. Tu znowu rozstrzygający wydaje się rozwój wydarzeń w Niemczech. Zamierzone jest szybkie załatwienie sprawy Ruhry.

W. Brytania: St. Zjednoczone opierają swą politykę zagraniczną na fakcie, że zawsze istnieć będzie W. Brytania, choć może nie Imperium Brytyjskie. Nie należy oczekiwać, że ona (W. Brytania) upadnie, choć jej gospodarcze załamanie uważane jest za bardzo ciężkie. Jednak W. Brytania, jak sądzą, nie może być już uważana dłużej za światowy bufor dla Stanów Zjednoczonych. Sfery urzędowe uznały to już całkowicie, nawet w okresie rokowań o pożyczkę. Zmiana polega na tym, że usiłują one obecnie fakt ten wyjaśnić szerokim warstwom ludności.

Niemcy: Polityka (St. Zjednoczonych) zmierza do stworzenia demokratycznych sfederalizowanych Niemiec, w celu zdjęcia tego ciężaru z gospodarstwa światowego. Koła urzędowe tutaj (w Ameryce) są niezmiernie przeciwne temu, aby Niemcy płaciły odszkodowania z bieżącej produkcji, a mianowicie na tej podstawie, że w rzeczywistości oznaczałoby to, że rachunek zapłaci podatnik amerykański.

Wysadzony przez sabotażystów palestyńskich angielski klub oficerski w Jerozolimie

Bevin w Izbie Gmin

(p) Przed wyjazdem do Moskwy, p. Bevin dokonał w Izbie Gmin generalnego przeglądu sytuacji w dziedzinie polityki zewnętrznej. Przemówienie ministra spraw zagranicznych było, jak je określił jeden z dziennikarzy opozycyjnych, „sprawozdaniem z tego co jest powszechnie wiadome i westchnięciem za tym, czego wszyscy pragną". Krótka debata niewiele dodała nowego do sprawozdania ministra.

Dramatyczną nutą przemówienia p. Bevina było stwierdzenie, że obecne kłopoty gospodarcze, w których znajduje się W. Brytania, osłabiają jej pozycję w świecie, łaknącym dóbr wszelkiego rodzaju: „Nasze zadanie w budowie pokoju jest straszliwie utrudniane przez gospodarczy nieład i brak równowagi w chwili obecnej. Narodowi W. Brytanii mówię, że „jeżeli potrafimy wziąć się do pracy i powiększyć naszą produkcję — będzie to błogosławieństwem".

Na kilka dni przed debatą w Izbie Gmin nad polityką zewnętrzną, czytaliśmy w „Daily Herald", organie stronnictwa rządowego gorący apel p. Michaela Food'a pod adresem „amerykańskich przyjaciół" o ponowne zbadanie zbyt „sztywnych" warunków finansowych pożyczki i o przychylniejszą postawę wobec importu do W. Brytanii towarów z tych krajów, którym nie trzeba płacić dolarami. Sprawy te, być może, będą tematem obszerniejszych rozważań, gdy nowomianowany ambasador Stanów Zjednoczonych, p. L.W. Douglas, przybędzie do Londynu. Tym bardziej, że zaraz po otrzymaniu nominacji, wyraził on gorącą wiarę w siłę brytyjskiego charakteru, który przezwycięży wszelkie trudności: „Yes, Brytania warta jest ryzyka" — mówił nowy ambasador, gdy zapytano go o zdanie jako doświadczonego ubezpieczeniowca.

Tymczasem jednak sytuacja gospodarcza utrudnia pozycję p. Bevina sprawiając, że w Moskwie tym bardziej inicjatywa przejdzie prawdopodobnie do rąk amerykańskich. Może ten właśnie wzgląd — obok przedkonferencyjnej ostrożności — wpłynął jakby tłumiąco na ton przemówienia. Dołączyło się do tego i przeświadczenie, że obrady moskiewskie będą najeżone niezwykle poważnymi przeszkodami. Toteż p. Bevin ostrzegł kraj, „aby nie spodziewał się od nas w Moskwie zbyt wiele".

Ostrzeganie przed nadchodzącymi trudnościami i grożącymi niebezpieczeństwami należy do tradycji w W. Brytanii, gdy sytuacja jest poważna i tej tradycji uczynił p. Bevin zadość w swoim przemówieniu.

Przypomniał, że nie wszystko w zapasie, przygotowanym przez Sojuszniczą Komisję Kontrolną w Berlinie, uzyskało zgodę wszystkich jej członków, że nie uda się sprawy niemieckiej należycie załatwić, jeżeli nie będzie zupełnej zgody wśród czterech wielkich mocarstw.

„Nie ma innej drogi. Niczego się nie uzyska przez ciągłe uskarżania się, ponawiane z tego czy innego powodu". Rząd brytyjski pragnie gospodarczej jedności Niemiec. Ale jest przeciwny politycznej centralizacji, pragnie, aby poszczególne kraje otrzymały znaczną samodzielność, a rząd centralny jedynie nieliczne uprawnienia. Po roku 1918 Sojusznicza Komisja Kontrolna zrobiła więcej aniżeli sam Bismarck dla jedności politycznej Niemiec — teraz trzeba tego uniknąć. Zwłaszcza jednak „miano na widoku to, aby Niemcy nie były podzielone na pół, ani ażeby Europa nie była podzielona na pół". Co do wschodnich granic Niemiec, p. Bevin wspominał tylko, że sprawa ta — wobec żądań polskich — będzie przyczyną poważnych sporów.

P. Bevin poparł wysunięte przez Dominia roszczenia do bardziej istotnego udziału w opracowywaniu pokoju dla Niemiec (zastępcy ministrów spraw zagranicznych nie doszli do żadnego porozumienia w tej materii). Oświadczył, iż jest „nadzwyczaj szczęśliwy", iż ze strony sowieckiej okazano gotowość do przedłużenia sojuszu (ze zmianami) „na podstawie bliskich i serdecznych stosunków pomiędzy obu krajami", choć wyraził żal, iż rząd sowiecki nie wszczął był rozmów na ten temat odrazu na drodze dyplomatycznej, „gdzie cała sprawa byłaby wyjaśniona bez wywoływania publicznego podniecenia". W rozmowach na temat traktatu sojuszniczego z Francją poczyniono bardzo zadowalniające postępy i wkrótce będą one zakończone *)

„Rząd brytyjski — mówił dalej p. Bevin — pragnie w dalszym ciągu zawarcia paktu czterech mocarstw, proponowanego przez p. Byrnesa dla zapobieżenia powtórnej napaści w Europie. Szczególnie gorące słowa poświęcił p. Bevin stosunkom W. Brytanii ze St. Zjednoczonymi oraz wielkiej ważności ich udziału w zabezpieczeniu pokoju europejskiego. Jakkolwiek były pewne nieporozumienia (jest to aluzja do sprawy palestyńskiej) to jednak „we wszystkich sprawach nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi mają charakter nadzwyczaj serdeczny". P. Bevin zapewnił Izbę, że nic nie zamąci tej przyjaźni i wyraził zadowolenie, że spotka się w Moskwie z p. Marshallem, który jest dawnym i szczerym przyjacielem naszego kraju".

Co do rozbrojenia, to zanim będzie można „narazić na ryzyko obronę krajową" musi najpierw być załatwiona sprawa zbiorowego bezpieczeństwa. Organizacja Narodów Zjednoczonych rozwija się dobrze, zwłaszcza w dziedzinie społecznej i gospodarczej. „Ale to co musimy należycie ustalić — to stosunki polityczne i obawiam się, że na to trzeba będzie czasu. Jednak nie tracę nadziei".

Słowem — p. Bevin nie ukrywa wielkich trudności, ale też i radzi nie tracić nadziei: Tak rzeczy wyglądają przed „wyprawą moskiewską".

*) Wkrótce po tym nadeszły wiadomości o szczęśliwym zakończeniu rokowań i o podpisaniu układu.

Gospodarcze i polit. zagadnienia w W. Brytanii

(p) Wraz z ustąpieniem mrozów poprawił się nieco stan zapasów węgla w W. Brytanii. Górnikom obiecano poprawę w rozdziale żywności. Jednak ograniczenia będą częściowo utrzymane w spożyciu domowym, choć przemysł rusza już do pracy.

Trudności gospodarcze, z którymi obecnie walczy rząd brytyjski, uwypuklone przez kryzys opałowy na skutek wyjątkowo ostrej zimy, doprowadziły — jak twierdzą koła opozycyjne — do zmiany nastrojów w szerokich kołach, odnoszących się coraz bardziej krytycznie do poczynań rządowych. Z drugiej strony zwraca się uwagę na fakt pogłębienia się rozdźwięków w łonie samej Labour Party, przyciszonych może w pewnym stopniu wyjazdem p. Bevina do Moskwy. Jednym z argumentów, którymi koła opozycyjne uzasadniają ocenę sytuacji wewnętrznej, ma być fakt, że przewództwo szerokich mas robotniczych wymyka się coraz bardziej stronnictwu rządowemu, przechodząc do rąk coraz wyraźniej usamodzielniających się związków zawodowych.

W każdym razie rok obecny będzie, wedle ogólnych przewidywań, bardzo ciężki dla W. Brytanii, a niektóre z przyczyn obecnych trudności mają charakter trwały, a nie tylko przejściowy. W tych warunkach należy się spodziewać, dalszych rozszerzonych już rozpraw na temat środków naprawy i celowości polityki rządu, który opracowuje podobno czteroletni plan gospodarczy. Dyskusje prasowe, wychodząc z dziedziny rozważań gospodarczych, nabierają coraz wyraźniej charakteru politycznego.

Patriarcha Lizbony kardynał Serejeira o komunizmie

(o) Patriarcha Lizbony Kardynał Manuel Goçalvez Serejeira wygłosił ostatnio przez radio portugalskie przemówienie na temat „Komunizm czy chrześcijaństwo", w którym powiedział m.in. co następuje:

„Komunizm jest syntezą fałszywej filozofii komunistycznej, która dąży do uczynienia z nauki religię. Komunizm nie zna i nie docenia znaczenia natury ludzkiej i pod wpływem swego materializmu stara się zmienić jednostkę ludzką w narzędzie gospodarcze.

„Pojęcie raju komunistycznego rozpoczyna się od zniesienia osobowości ludzkiej; w rzeczywistości zamiast nieistniejącego raju komunistycznego istnieje niewolnictwo, tyrania i ruina".

Przypomniawszy upadek Cesarstwa Rzymskiego pod naporem chaosu wywołanego przez barbarzyńców, Kardynał Serejeira powiada, że współczesna społeczność chrześcijańska zagrożona jest nie tylko przez barbarzyńców zewnętrznych, ale również przez barbarzyńców, którzy zagnieździli się wewnątrz naszej społeczności.

„Nigdy w historii nie istniała organizacja, tak ostro występująca przeciwko Bogu i Chrystusowi". (NEX)

Testament Ribbentropa w Moskwie

(p) „Przy rozbiorze Polski pomiędzy Niemcy i Rosję w 1939 r. linia Curzona odżyła z małymi odchyleniami, stając się granicą pomiędzy strefami okupacyjnymi niemiecką i rosyjską. Później, w polemikach pomiędzy rządami sowieckim i polskim, pierwszy powoływał się na granicę Curzona jako na właściwą granicę, drugi zaś ją odrzucał. Rząd, który Rosja osadziła w Warszawie, przyjął to postanowienie, a Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wyraziły zgodę."

(A. Dictionary of International Affairs by A. M. Hyamson, Methuen and Co Ltd. London 1946).

„Odmówimy uznania każdemu rządowi narzuconemu jakiemuś narodowi siłą przez obce mocarstwa. W pewnych wypadkach może być niemożliwe zapobiec narzuceniu siłą takiego rządu, ale Stany Zjednoczone żadnego takiego rządu nie uznają."

(Punkt 6, z 12 punktów Prezydenta Trumana).

„Jeden graniczny słup sprawiedliwości i honoru nie stwarza pokoju na świecie. Przewódcy nazizmu nie są jedynymi ludźmi, którzy odstąpili od zasad cywilizacji zachodniej i wyparli się ich. Są oni jedyni tylko pod względem stopnia i gwałtowności swych przestępstw. W każdym narodzie, który choćby tylko na czas pewien zgodził się na ich przestąpienie, byli przestępcy."

(Henry L. Stimson, b. amerykański minister wojny, w artykule o procesie norymberskim, „Foreign Affairs" N. York styczeń 1947).

Ministrowie spraw zagranicznych wielkich mocarstw rozpoczynają właśnie obrady w Moskwie nad zasadami traktatu pokojowego dla Niemiec. Zapewne nie ujdzie uwagi fakt, że pomiędzy Berlinem i Moskwą jest jeszcze jedna z pozostałości zbrodniczej napaści hitlerowskiej: to linia Ribbentrop-Mołotow, wzdłuż której biegnie dzisiejsza granica pomiędzy Polską i Związkiem Sowieckim.

Fakt ten stawia w dziwnym świetle przygotowywaną obecnie organizację pokoju. Duch powieszonego w Norymberdze Ribbentropa unosić się będzie nad stołami konferencyjnymi, będzie przewracał kartki licznych sprawozdań i memoriałów, będzie stawał niewidoczny za plecami delegatów, pochylonych nad mapą Europy. Na zachód od Lwowa i Wilna wciąż się rozpościera nakreślony w październiku 1939 r. „Hackenkreuz".

Linia Ribbentrop-Mołotow miała rozgraniczać obszary władania dwu mocarstw, które postanowiły zgodnie podzielić się lądem europejskim w myśl zasad wspólnie i publicznie ogłaszanych światu. Ale dla świata stała się ona symbolem ucisku i bezprawia, przemocy i napastliwości. A czymże jest dzisiaj? Symbolem tylko, bo nie jest już nawet granicą rzeczywistego panowania sowieckiego. Mówił kiedyś p. Churchill, że nie to jest ważne, gdzie biegnie granica, ale to, aby na zachód od niej ludzie byli wolni. Któż będzie dzisiaj twierdził, że linia Ribbentrop-Mołotow jest granicą wolności?

Była ona lat siedem i pół wynikiem kompromisu w nabitych zamiarach obu stron: jedna z nich chciała się zabezpieczyć od wschodu do skoku na zachód Europy, druga pragnęła takiegoż ubezpieczenia od zachodu w nadziei urzeczywistnienia swych planów azjatyckich i afrykańskich. Kompromis trwał niedługo. Jeden z partnerów został powalony, drugi rozszerzył znakomicie swe ubezpieczenia, posuwając je dalej na zachód.

Tak należałoby rozumieć sens owego „rozwiązania" w świetle uwagi p. Dean Achesona, amerykańskiego Podsekretarza Stanu o „napastliwości i dążeniu do rozrostu" w polityce sowieckiej. My wiemy, że jej cele nie wyczerpują chęci unicestwienia naszej niepodległości. Rosyjska myśl polityczna jest dalekosiężna, a opanowanie Polski jednym tylko ze środków do celów dalekich, światowych. Zmierza ona ku nim świadomie i konsekwentnie poprzez zabory i „wyzwolenia", uderzenia i odwroty, prośbą i groźbą, czasem w aksamitnych rękawiczkach, to znów nahajką i „łagrem".

Gdy ministrowie rozprawiają nad sposobami uchronienia się od ponownej napaści niemieckiej, żaden z nich chyba nie wątpi, że choć ważne są przeróżne środki kontroli i przymusu, to jednak sedno sprawy tkwi przecież nie w nich samych, ale w sposobie ich użycia. Rok 1939 był rokiem wielkiej próby. Wówczas to, wchodząc do walki w najmniej korzystnych warunkach, Polska decyzją swą dała swym sojusznikom zachodnim nieocenioną możność wielomiesięcznego oddechu. W tym samym czasie jej znacznie potężniejszy sąsiad ze wchodu współpracował w... wykreślaniu linii Mołotow-Ribbentrop.

Dla dobra Europy i pokoju wschodnim sąsiadem Niemiec powinien być kraj niepodległy i zdolny do życia, myślący po europejsku, **silnie z Europą związany**, zgodny z nią w rozumieniu i odczuwaniu takich słów jak wolność, ludzkość i przestępstwo. Takim krajem jest tylko rzeczywiście niezawisła Polska, która jak najszczerzej pragnie spełnić swoje obowiązki wobec Europy i świata. Musi ona jednak mieć w tym celu minimalne choćby warunki i środki.

Toteż sprawa jej granic — **wschodnich i zachodnich** — winna być rozważana nie z punktu widzenia obecnego układu stosunków, co do którego wartości i trwałości nikt większych złudzeń już nie ma, lecz ze stanowiska tych zadań, które w przyszłości Polska spełniać musi. Musi przede wszystkim dlatego, że nikt za nią tego nie zrobi. Na wschód od Niemiec ona jedna jest rzeczywiście przywiązana do tych wielkich wartości cywilizacji zachodniej, przeciwko, którym zwróciła się napaść niemiecka. A w każdym razie ona jedna potrafiła czynnie wystąpić w ich obronie. Nie było to dzieło przypadku, lecz wynik jej tysiącletniej wspólnej z Europą historii. Inne prądy, inne siły i wierzenia kształtowały oblicze jej wschodniego sąsiada. Nie da się nagle przemienić tego, co żłobiły wieki.

Dzisiejsza wschodnia granica Polski wykreślona została w październiku 1939 r. paktem Ribbentrop-Mołotow. Fakt jej przetrwania do dziś dostarcza smutnego świadectwa, że nie zaginął jeszcze duch, w którym pakt ten został zawarty. Duchem tym była chęć **wyłączenia Polski ze społeczności europejskiej.** Czy w chwili gdy rozpoczynają się obrady nad jej zachodnią granicą, nie należy się obawiać, że niewidzialnym doradcą przy jej wykreślaniu będzie znowu... Ribbentrop?

Amerykańska faza sprawy greckiej

(p) Wraz z nowymi wydarzeniami w sprawie greckiej wydaje się, że całe zagadnienie Środkowego Wschodu weszło w nową fazę, której główną cechą będzie dalszy i wydatny udział St. Zjednoczonych w ukształtowaniu stosunków na tych obszarach.

Rząd brytyjski zawiadomił sekretarza stanu Marshalla za pośrednictwem swego ambasadora w Waszyngtonie, iż po 31 marca b.r. nie czuje się na siłach ponosić nadal odpowiedzialności finansowej za udział w pomocy dla Grecji, i że nie będzie mógł pokrywać na dalszą przyszłość kosztów utrzymania w Grecji oddziałów brytyjskich. W odpowiedzi na to Lord Inverchapel otrzymał od rządu amerykańskiego notę, którą mu wręczył podsekretarz stanu p. Dean Acheson. Treścią tej noty jest, jak podają korespondenci prasowi z Waszyngtonu, wezwanie ze strony prezydenta Trumana do zatrzymania oddziałów brytyjskich w Grecji, aby zapobiec próbie wojny domowej oraz zapewnienie, iż rząd amerykański zastanowi się nad sposobem ulżenia rządowi brytyjskiemu w ponoszonych przezeń ciężarach finansowych. Prezydent Truman ma podobno wystąpić z wnioskiem udzielenia Grecji kredytu lub pożyczki w wysokości 62.500.000 funtów szterlingów płatnych w ciągu trzech lat.

Podłoże tej decyzji omawia w swym komentarzu p. Richard Strout, korespondent londyńskiego „Sunday Times" w Waszyngtonie. Pisze on m.in.:

„Amerykańskie władze wojskowe uważają, że dla bezpieczeństwa Ameryki jest rzeczą wielkiej wagi, aby Grecja otrzymała poparcie. Tego samego zdania są prezydent Truman i gen. Marshall. Zagadnienie polega na tym, czy Kongres i publiczność powezmą historyczną decyzje o charakterze, nie mającym w Ameryce precedensu, przedstawioną im bez uprzedniego przygotowania".

„Wiadomość, że W. Brytania zamierza zmniejszyć wzięte na siebie obowiązki w Grecji, nadeszła do Waszyngtonu zadziwiająco nagle i sam gen. Marshall był nią zdumiony. Należy się spodziewać, że nadchodząca dyskusja będzie brutalnie szczera, a kształcenie Ameryki w sprawach światowych będzie miało w najbliższym miesiącu przebieg szybszy, aniżeli w ciągu całego ubiegłego wieku".

„W czwartek Prezydent Truman i gen. Marshall, w okolicznościach najbardziej uroczystych, przedstawili wybranym przewódcom Kongresu konieczność powzięcia zasadniczej decyzji. Decyzja ta, mówiąc otwarcie, dotyczy pytania, czy kraj jest gotów dostarczyć pieniędzy i siły wojskowej dla zahamowania dalszego rozprzestrzenienia się wpływów sowieckich w Europie".

„D U X"
najlepszy kieszonkowy słownik pol.-ang. i ang.-pol.
z wymową
CENA 10/6 Żądajcie wszędzie
SKŁADNICA KSIĘGARSKA
8 Hope Street — Edinburgh — Tel.: 32552

„Nadzieja dla uchodźców"

(o) Pod powyższym tytułem „Times" ogłosił następujący artykuł o dotychczasowym wyniku narad genewskich Komitetu Przygotowawczego do spraw Międzynarodowej Organizacji Uchodźczej:

„Przed uchodźcami europejskimi otworzyły się nowe nadzieje. W ubiegłych tygodniach bowiem możliwości powzięcia jakiejś akcji międzynarodowej wydawały się słabsze niż kiedykolwiek przedtem. Groziło niebezpieczeństwo, że Komitet Przygotowawczy Międzynarodowej Organizacji Uchodźczej obradujący w Genewie będzie musiał wstrzymać swe prace z powodu braku funduszów. Ale pomoc nadeszła w ostatniej godzinie, bezpośrednio przed odroczeniem się do nowego spotkania w kwietniu b.r.

P. Trygve Lie (sekretarz generalny ONZ — przyp. Red. O.B.) przesłał do przewodniczącego obrad w Genewie telegram przyrzekający pomoc w postaci pożyczki udzielonej z funduszu administracyjnego Narodów Zjednoczonych. W ten sposób położono kres nowemu kryzysowi, który zagrażał przygotowaniom do stworzenia Międzynarodowej Organizacji Uchodźczej. Niewątpliwie nie był to ostatni kryzys, ale z dotychczasowych był najpoważniejszy.

Grożąca przerwa w pracach przygotowawczych rozbiłaby prawie wszystkie nadzieje na stworzenie skutecznej organizacji uchodźczej do 30 czerwca b. r., kiedy UNRRA przestanie działać w tym zakresie. W pewnej chwili w Genewie panowało wrażenie, że sekretariat Narodów Zjednoczonych odmówił zadatkowania małej sumy, niezbędnej dla utrzymania toku prac komisji przygotowawczej przez następnych kilka miesięcy. Wrażenie to, powstałe zapewne na skutek nieporozumienia, zostało obecnie rozproszone. P. Trygve Lie okazał gotowość udzielenia z funduszów Narodów Zjednoczonych sumy 60 tys. funtów, aby umożliwić stworzenie IRO. Pomoc tę można uznać za wspaniałomyślną, ale w każdym razie nie wykracza ona poza to, co Narody Zjednoczone obowiązane były uczynić dla jednej ze swych „wyspecjalizowanych agend".

Przyrzeczona pożyczka i towarzysząca jej oferta udzielenia pomocy w personelu i udogodnieniach lokalowych w Genewie powinny pozwolić Komisji Przygotowawczej na pokonanie bezpośrednich trudności. Komitet ten dokonał dobrej roboty, wybierając między innymi p. Altmeyera, doświadczonego administratora amerykańskiego na sekretarza zarządu. Niemniej najistotniejsze trudności, związane z zapewnieniem możliwości powstania IRO zgodnie z jej statutem, istnieją nadal. Statut musi być podpisany przez 15 państw pokrywających również między sobą trzy czwarte jej budżetu. Nadal brak czterech dalszych podpisów i pokrycia około 5% budżetu. Dotychczas nie wiadomo czy p. Trygve Lie gotów jest zgodnie z prośbą Komitetu Przygotowawczego wezwać dalsze państwa do złożenia swoich podpisów... Ostatnio utrzymywano w jego imieniu nawet przeciwnie, że nie zamierza tego uczynić, lecz należy mieć nadzieję, że to również było nieporozumieniem. Czy zresztą pobudka przyjdzie z Nowego Yorku, Londynu i Waszyngtonu, czy też w sposób milczący ze strony setek tysięcy uchodźców i wygnańców (D.P.), którzy są najbardziej zainteresowaną stroną w tej sprawie, jest rzeczą obojętną. Ale gdyby miało nastąpić najgorsze z najgorszych i okazało się niemożliwym stworzyć tę organizację w przewidziany sposób, wówczas te państwa, którym sprawa ta najbardziej leży na sercu, więc wśród nich W. Brytania i Ameryka, winny zaopiekować się dokonanymi już pracami, tworząc w możliwie jak najszybszym terminie inną tego rodzaju instytucję, czy organizację. Bo jakaś organizacja uchodźcza, tego czy innego rodzaju, musi być gotowa do działania z dniem 30 czerwca b.r."

SPRAWY POLSKIE

List pasterski Biskupów Szkockich w obronie Polski

Episkopat rzymsko - katolicki Szkocji ogłosił dnia 26 lutego 1947 następujący list pasterski do wolnych ludów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów:

„Jeszcze raz zwracamy uwagę na los Narodu Polskiego, którego długotrwałe prześladowanie przez jego nieprzyjaciół, napawa nas głębokim smutkiem. Kilka lat temu uważaliśmy za swój obowiązek potępić podstęp rządu moskiewskiego, którego celem było zapewnienie ze strony aliantów uznania grupy protegowanej przez komunistów. Grupa ta, chwyciwszy cugle władzy w Polsce, sprawuje swe złe rządy w oparciu o bagnety".

„Wyniki t.zw. wyborów wykazują wyraźnie, nawet dla ślepych, prawdę naszych oświadczeń, dotyczących cynicznej woli Kremla narzucenia Polsce tego rodzaju dyktatury, która zwie się „czerwonym faszyzmem". Wszelkie zapewnienia i propaganda, powtarzana aż do znudzenia, doprowadziły tylko do pogłębienia rozczarowania świata, który w gorzki sposób uświadomił sobie drwiny i brutalne oszustwo praktykowane wobec niego przez rząd sowiecki i jego marionetkowy reżym".

„Ale jeszcze gorzej, że nigdy nie było podstaw usprawiedliwiających istnienie lepszych nadziei. Nigdy nie było wątpliwości co do celu i sposobu użycia sowieckiej Gestapo w Polsce. Ci najemnicy przez morderstwa, terror i tortury okazali, co są warci. Ich osiągnięcia są jednak znacznie większe. Poderwali oni zaufanie ludzi na świecie i obnażyli dla historii zło zamierzenia władców Rosji".

„Wolne i nieskrępowane wybory w Polsce były jednak również gwarantowane przez W. Brytanię i St. Zjednoczone, bez których zgody nie mógłby powstać rząd tymczasowy. Nowy reżim nie może być pod żadnymi pozorami traktowany przez cywilizowane państwa, jako reprezentant, który był wybrany legalnie. Rządy Brytyjski i St. Zjednoczonych potępiły wybory za ich przeprowadzenie. Nasz obowiązek nie kończy się na tym. Musimy nalegać na to, aby Rosja wypełniła obowiązek przeprowadzenia wolnych wyborów w Polsce w takich warunkach i pod takim międzynarodowym nadzorem, który zabezpieczy ogół wyborców w Polsce przed przemocą i zastraszeniem podczas głosowania".

„Musimy także rozważyć teraz poważnie cel ostateczny sowieckich ambicyj terytorialnych. Polska została pożarta. Łotwa, Estonia, Litwa — dzielne małe państwa — nie istnieją. Państwa bałkańskie są połykane częściami. Ale Rosja jest ciągle głodna. Tutaj w naszym kraju uczniowie i obrońcy Rosji, niektórzy z nich znajdujący się na wpływowych stanowiskach w naszych wielkich Trade Unionach i otwarcie solidaryzujący się z oficjalnym organem prasy sowieckiej — dążą nieustannie do tego, aby zredukować nasz Wielki Naród do roli jeszcze jednego państwa sowieckiego. Wolność szybko uchodzi z Europy, a gdy wolność ginie, rosną niebezpieczeństwa dla naszej swobody".

„W tych trudnych okolicznościach, chcemy zapewnić Naród Polski o naszym serdecznym współczuciu, do którego dołączamy obietnicę nieustannych błagań wznoszonych do Boga o szybkie wyzwolenie Polski z więzów niewoli. Równocześnie zaś wzywamy wszystkich w Boga wierzących, a zwłaszcza tych, którzy zajmują kierownicze i wpływowe stanowiska w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów, aby rozważyli następstwa, jakie powstają dla całego świata, jeżeli potulnie będziemy zgadzać się na odmowę Rosji Sowieckiej szanowania uroczystych zobowiązań międzynarodowych i jeżeli zachowamy zadowolenie w odrzuceniu naszych obietnic wobec Narodu Polskiego. Imperium Brytyjskie nie może i nie powinno milczeć, podczas gdy Polska śmiertelnie krwawi. Jedyną naszą nadzieją przetrwania jako owalny kraj jest podjęcie na nowo płaszcza Krzyżowców przeciwko złu, obwołanie się obrońcą sprawy małych narodów Europy, potępienie zakucia tych narodów w niewolę, naleganie na przywrócenie tym narodom suwerennego prawa do własnych rządów i nieustanne a odważne demaskowanie sprzysiężenia sowieckiego zdążającego do obalenia naszej cywilizacji".

Odezwę powyższą podpisali:

Andrew Joseph Mc Donald, arcybiskup St. Andrews i Edynburga; Donald A. Campbell, arcybiskup Glasgowa; William H. Mellon, biskup Galloway; Kenneth Grant, biskup Argyll i Wysp; James D. Scanlan, biskup sufragan Dunkeld; Dawid Paterson, wikariusz kapitularny Aberdeen.

Senat Stanu Nowy York potępia nadużycia wyborcze w Polsce

Senat Stanu Nowy York (stolicą Stanu Nowy York jest miasto Albany, a gubernatorem jest Thomas Dewey, b. kandydat republikański na prezydenta, który wielokrotnie występował w obronie praw Polski) uchwalił 14 lutego br. rezolucję wniesioną przez senatora Richarda McCleery'ego, treści następującej:

„Ponieważ Druga Wojna Światowa rozpoczęła się w obronie wolności Polski i nie może być uważana za wygraną zanim Polska wolności nie odzyska,

„Ponieważ ostatnie wybory w Polsce stanowiły pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych oraz pogwałcenie układów w Jałcie i Poczdamie, obiecujących oraz zapewniających wolne wybory,

„Ponieważ na obecny opanowany przez komunistów rząd polski oraz Rosję Sowiecką spada wina i odpowiedzialność za gnębienie i straszenie elementów demokratycznych, na skutek czego ostatnie wybory w Polsce stały się farsą,

„WOBEC tego legistratura stanu New York, pragnie zarejestrować swój protest przeciwko ostatnim wyborom w Polsce jako przeprowadzonym w sposób niedemokratyczny, w atmosferze przemocy i postrachu, i

„Postanawia, aby odpis niniejszej rezolucji przesłany został do Walnego Zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych."

Litwini o gen. Andersie i jego Armii

Pismo litewskich D.P. „Musu Kelias" zamieściło niedawno p.t. „Koniec jednej tragedii" obszerny artykuł o armii gen. Andersa. Artykuł zaopatrzony został w następujące podtytuły: „Epopea Andersa i Jego ludzi". — Z więźnia w Butyrkach wodzem Armii — Drogą śmierci do chwały. — Ludzie, którzy wierzyli w wolność do ostatniego tchnienia".

Artykuł litewskiego tygodnika brzmi: „Gen. Anders i Jego Armia przejdą niewątpliwie do historii, jako uczestnicy bohaterskiej, tragicznej epopei. W czasie drugiej Wojny Światowej żołnierze gen. Andersa dokonali czynów, które zostały wypisane złotymi zgłoskami w księdze czynów heroicznych. Obecnie o gen. Andersie i Jego żołnierzach mniej znajdziemy wiadomości w prasie. Chyba prasa polska, ta wychwalająca obecnych władców Polski napisze coś o Andersie w więcej, czy mniej rozjuszonym tonie, zaklnie więcej, lub mniej soczyście. Czy o głośnym polskim generale nie ma już co pisać, czy epopea, którą przeżyli Jego żołnierze jest już ostatecznie skończona?

Bezwzględnie nie?

O dziwnym losie żołnierzy Narodów Sprzymierzonych, o tej epopei będzie się pisało i mówiło jeszcze dostatecznie dużo. Obecnie jednak przeżywają oni wraz ze swoim Wodzem dziwne koleje losu. W toku są różne przegrupowania i dlatego prasa zachowuje całkowite milczenie. Co się dzieje w chwili obecnej? Odbywa się likwidacja oddziałów, w których żołnierze walczyli do ostatniej kropli krwi za ideały Sojuszników, za wolność. Czytelnicy nasi (chodzi o czytelników pisma litewskiego — przyp. red. O. B.) już wiedzą, że 2. Korpus został przeniesiony do Anglii, a słynna polska Dywizja Pancerna pozostaje dotychczas w Niemczech, lecz za jakiś miesiąc i ona będzie musiała podążyć w ślady 2. Korpusu. Obecnie żołnierze Korpusu stanęli przed alternatywą — powracać do Polski (nie do tej niepodległej Polski, za którą walczyli), albo dwa lata służyć w „Resettlement Corps", stworzonym przez Brytyjczyków, którzy chcieliby polskich żołnierzy „przyzwyczaić" do życia cywilnego w Anglii, czy gdzie indziej. Wydaje się, że większość żołnierzy będzie musiała służyć w tym korpusie, a tylko mała część postanowiła wracać do Polski. Tym samym kończy się bohaterski okres Armii. Do nowego życia wpycha się ludzi, którzy w ciągu kilku lat, na kilku kontynentach, na wodzie i w powietrzu, niezwykle ofiarnie walczyli do ostatniej kropli krwi w obronie wielkich ideałów ludzkości. Obecnie są oni przez prasę niektórych państw nazywani „reakcjonistami" i „faszystami". Ich przywódcy tracą obywatelstwo — co więcej — ze względów „politycznych" zabrania się im wzięcia udziału w londyńskiej Paradzie Zwycięstwa. Czarę goryczy wypija się do dna".

W dalszym ciągu pismo litewskie przedrukowuje artykuł Romana Fajansa o generale Andersie, który ukazał się swego czasu w paryskim tygodniku „Carrefour".

Warunki bytu Polaków w W. Brytanii

Prace nad projektem ustawy o rozmieszczeniu Polaków posuwają się w Izbie Gmin w szybkim tempie naprzód. W tydzień zaledwie po drugim czytaniu ustawy odbyła się, na komisji, szczegółowa dyskusja nad poszczególnymi jej postanowieniami i proponowanymi poprawkami.

Wydaje się, że najtrudniejszym orzechem do zgryzienia jest sprawa t.zw. „niezdecydowanych", którzy ani nie chcą jechać do Kraju, ani nie chcą wstąpić do PKPR, ani też nie mają bezpośrednich widoków na emigrację. Jak wynika z dyskusji, kategorię tę należało by podzielić na dwie grupy: tych którzy już wystąpili z wojska polskiego i znaleźli cywilne zajęcie, bez przejścia przez PKPR, oraz tych, którzy jeszcze znajdują się w szeregach i pobierają żołd czy gaże.

Pierwsza grupa wydaje się nie nastręczać żadnych trudności, jak to wynika z odpowiedzi udzielonej przez min. Ede socjalistycznemu posłowi Fletcherowi, podczas dyskusji nad klauzulą o kwalifikacjach wymaganych do pobierania zasiłków na wypadek bezrobocia. Na zapytanie posła Fletchera czy osobom tej kategorii przysługiwać będzie prawo do zasiłków, w razie potrzeby, bez uprzedniego przejścia przez PKPR, min. Ede stwierdził, że są to bądź byli członkowie Polskich Sił Zbrojnych, bądź też członkowie tych sił, którzy zostali ze służby zwolnieni i jako tacy podpadają pod postanowienia klauzul i mogą korzystać z jej dobrodziejstw. Rozwiązanie takie jest zresztą logiczne, gdyż osoby te nie otrzymując poborów nie są ciężarem dla skarbu, a ponadto przeszły już do życia cywilnego, co właśnie jest celem PKPR.

Znacznie bardziej złożone jest położenie czynnych wojskowych, którzy z tych czy innych względów nie mogą, czy nie chcą zdecydować się na wstąpienie do PKPR. Próby ze strony min. Ede, znalezienia formalno - prawnego rozwiązania tego zagadnienia, wywołała prawdziwą burzę w łonie komisji. Po zakończeniu dyskusji nad poszczególnymi postanowieniami ustawy, min. Ede przedłożył wniosek o włączenie dodatkowego postanowienia, mającego na celu przedłużenie jurysdykcji polskiej, z okresu przed 5 lipca 1945 — a więc z okresu przed cofnięciem uznania dla rządu polskiego przez W. Brytanię — dla oddziałów, grupujących niezdecydowanych żołnierzy i oficerów, by w ten sposób zapewnić utrzymanie w oddziałach tych karności. Propozycja została jak najgorzej przyjęta ze wszystkich stron. Przede wszystkim protesty wywołała strona proceduralna wniesienia dodatkowego postanowienia, w tak posuniętym stadium prac. Dał temu m.in. wyraz pos. Fletcher, oświadczając, że wielu członków Izby, którzy poparli projekt w jego pierwotnej formie, zajęłoby doń zupełnie inne stanowisko, gdyby wiedzieli, że zawiera na końcu takie postanowienie. Szereg innych posłów, z pos. Paget na czele, uznało że projekt ten jest niezgodny z konstytucją W. Brytanii, inni zaś utrzymywali, iż nowe postanowienie nie pokrywa się z celem całości ustawy. Min. Ede wycofał więc swój wniosek i zapowiedział złożenie, w chwili gdy ustawa wróci na plenum Izby, innego wniosku w tym samym duchu, lecz o innym sformułowaniu. Główna różnica między pierwszym a drugim projektem nowego postanowienia polega na ustanowieniu, w drugim tekście, brytyjskiego dowódcy nad tymi polskimi oddziałami, oraz na wyraźnym zastrzeżeniu praw cywilnych sądów brytyjskich. Z tonu dyskusji wnioskując, nie wydaje się, by ten drugi tekst spotkać się miał z mniejszą opozycją od pierwszego. Czynione jednakże ze strony rządu, próby znalezienia jakiegoś rozwiązania dla zagadnienia niezdecydowanych, są objawem wysoce dodatnim. Świadczą one, że w łonie rządu JKM. poważne wątpliwości zaczyna budzić pomysł wysyłania na pewną zagładę do Niemiec, kraju wrogiego, żołnierzy, którzy przeciwko tymże Niemcom walczyli po stronie brytyjskiej, a których jedyną winą jest, że nie chcą brać na siebie żadnych dalszych zobowiązań.

Zagadnienie to istotnie nie jest łatwe do rozwiązania, bo trudno, z drugiej strony, dziwić się Brytyjczykom, że wahają się udzielić gościny tym, którzy do jej warunków nie chcą się zastosować. Miejmy jednak nadzieję, że na dalszą metę znajdzie się jakieś rozwiązanie pośrednie, które ani nie stworzy dodatkowych trudności dla rządu brytyjskiego, ani też nie pociągnie za sobą skrzywdzenia części żołnierzy polskich. Duch, w jakim zredagowana została ustawa oraz ogólny ton dyskusji zarówno, na plenum podczas drugiego czytania projektu ustawy, jak i w komisji pozwala żywić uzasadnione nadzieję, że podjęte będą w tym kierunku wszelkie starania tak ze strony rządu, jak i ze strony Izby. Szczera troska o jak najlepsze ułożenie życia Polakom w W. Brytanii cechująca znakomitą większość głosów spowodowała nawet sarkastyczną uwagę ze strony posła Daviesa, który wyraził życzenie, by w przyszłości, przy omawianiu możliwości polepszenia bytu bezrobotnych Brytyjczyków, traktowani oni byli z taką samą wspaniałomyślnością, z jaką dziś traktuje się Polaków.

Dyskusja nad postanowieniem o zapomogach dla bezrobotnych wyjaśniła, na jakie kategorie osób cywilnych, poza rodzinami wojskowych i osobami zależnymi od wojska, rozciągają się dobrodziejstwa ustawy. Min. Ede, odpowiadając na wątpliwości, wysunięte przez socjalistycznego posła Hynd, stwierdził że ustawa, w swych postanowieniach o osobach cywilnych, przewiduje pomoc jedynie dla b. urzędników rządu polskiego w Londynie oraz ich rodzin, przy czym liczbę osób podpadających pod tę kategorię, a przebywających jeszcze chwilowo poza W. Brytanią, ocenił na 12 do 30. Zastrzegł on, że w razie sprowadzenia z kontynentu uchodźców, t.zw. „displaced persons", narodowości polskiej, nie będą oni podciągnięci pod dobrodziejstwa omawianej ustawy.

Znaczna część dyskusji poświęcona była sprawom rent inwalidzkich i wdowich. Major Bramall, z Partii Pracy, wniósł poprawkę ograniczającą prawo do rent tylko dla tych, którzy ponieśli szkody na zdrowiu w służbie pod dowództwem brytyjskim, oraz dla wdów po żołnierzach w służbie tej poległych. Poprawka ta, która została przez komisję przyjęta, wyłącza żołnierzy - inwalidów z 1939 r., Armii Krajowej, kampanii francuskiej, oraz wdowy po ofiarach Katynia. Spotkała się ona ze sprzeciwem zarówno ze strony konserwatystów, jak i, nieoczekiwanie, komunistów. Komunistyczny poseł Piratin, polemizując z wnioskodawcą poprawki, oświadczył, iż przy drugim czytaniu wypowiedział się przeciwko ustawie jako całości, uważa jednak, że jeśli ma być sprawiedliwość, to niech już będzie w całej pełni. Proponuje on więc rozciągnięcie klauzuli o rentach na wszystkich żołnierzy, którzy ponieśli szkodę na zdrowiu w jakimkolwiek wojsku alianckim, oraz na wdowy po nich. Także konserwatyści pragnęli rozszerzyć prawo do rent na żołnierzy wszystkich kampanii, jakie w tej wojnie toczyły wojska polskie i wypowiadali się przeciwko nierównemu ich traktowaniu.

Równie gorąca dyskusja wywiązała się nad złożoną przez pos. Peake, w imieniu konserwatystów, poprawka zmierzająca do przedłużenia, bez ograniczeń w czasie, wypłacania rent inwalidzkich i wdowich, które w ustawie przewidziane jest na okres pięciu lat. Popierając poprawkę, posłowie konserwatywni wyrażali obawę, że ustalenie płatności rent na pięć lat wprowadzi czynnik niepokoju w życie zainteresowanych, a poseł Sutcliffe uważał, iż obawa przed utratą podstaw bytu po pięciu latach. może stać się pewną formą presji za powrotem do kraju. Tego samego zdania był wiceadmirał Taylor. Poprawka upadła, po zapewnieniu ze strony ministra rent p. Paget, że rząd nie zamierza bynajmniej wstrzymać wypłaty rent po upływie pięciu lat, pragnie jedynie pozostawić sobie wolną rękę w ewentualnych późniejszych rokowaniach z rządem polskim w sprawie przejęcia tego ciężaru. Nikt bowiem nie może z pewnością przewidzieć, co przyszłość przyniesie. Jeśli jednak sytuacja pozostanie taka, jak jest dzisiaj, to renty będą dalej wypłacane przez rząd brytyjski.

Odrzucono również poprawkę wniesioną przez komunistę, posła Piratin, domagającą się zniesienia postanowienia ustawy wstrzymującego wypłatę rent dla Polaków, którzy powrócą do Kraju.

Poruszona była m.in. w dyskusji sprawa terminu, do którego utrzymany ma być Korpus Przysposobienia. Poseł Warbey wniósł poprawkę, ograniczającą czas istnienia Korpusu do dwuch lat. Poprawka ta została jednakże odrzucona, po wyjaśnieniu ze strony finansowego sekretarza ministerstwa wojny p. Freemana, iż rząd ma nadzieję, że w ciągu dwuch lat Korpus wypełni swe zadanie i przestanie istnieć, nie może jednak zgodzić się na statutowe ograniczenie czasu utrzymania Korpusu, gdyż mogą zajść okoliczności, jak n.p. obecny kryzys, wpływające opóźniająco na przejście wielkich ilości ludzi do życia cywilnego i pracy w przemyśle.

W znacznej większości dyskusja była rzeczowa i konstruktywna, a nawet nacechowana życzliwością, jak n.p. wystąpienie prof. Savory w obronie kultury polskiej i słowa głębokiego uznania dla literatury polskiej, w odpowiedzi posłance Manning, która, tak jak i poprzednim razem, występowała w roli gorącego rzecznika całkowitego wynarodowienia Polaków, a szczególnie dzieci polskich pozostających w Brytanii.

Znalazły się jednak również wystąpienia, choć nieliczne na ogół, świadczące o głębokim niezrozumieniu istotnego charakteru uchodźstwa polskiego. Dla posła Mack n.p. uosobieniem polskiego oficera jest trzaskający obcasami fircyk, a jego kolega z ław Partii Pracy, posłanka Manning jest głęboko przekonana o zgubnym i niedemokratycznym wpływie rządu emigracyjnego, jak go sama nazywa. Tego rodzaju wypowiedzi nie mają głębszego znaczenia, gdyż świadczą tylko o całkowitej nieznajomości rzeczy ze strony tych, którzy je wygłaszają, tak samo jak zarzuty o zdeprawowanym faszyźmie, z ust komunistycznego posła Gallachera, pod adresem ludzi, którzy przez sześć lat walczyli zbrojnie przeciwko faszyzmowi, wnoszą jedynie pewne akcenty swoistego humoru.

Jednakże przykrym zgrzytem był zwrot użyty w dyskusji przez ministra wojny p. Bellenger, o tym, że Polaków uczy się nie tylko elementarnej znajomości języka angielskiego, lecz również demokratycznych form życia. Minister wojny powinien lepiej zdawać sobie sprawę, że Polacy są narodem europejskim o kulturze łacińskiej i że mają dość stare i dość bogate tradycje własnej myśli politycznej, by nie potrzeba pouczać ich o tym, co jest istotą demokracji. Zresztą właśnie stanowisko uchodźstwa polskiego, odmawiającego uznania administracji wyłonionej w sposób całkowicie sprzeczny z zasadami demokracji i z powodu podeptania tychże zasad, jest najlepszym dowodem dojrzałości w duchu demokracji zachodniej.

Co prawda przyznać trzeba, że tego rodzaju zgrzyty były raczej odosobnione w ogólnym tonie dyskusji. Miejmy nadzieję, że dłuższe i bliższe zetknięcie się z żywiołem polskim na terenie W. Brytanii, pozwoli na sprostowanie takich krzywdzących i niezasłużonych opinii.

A. D.

Feldmarsz. Kesserling na procesie w Wenecji

Utajona armia niemiecka

(o) Prasa amerykańska podaje wiadomości świadczące o utrzymywaniu ducha i organizacji wojskowej wśród niemieckich jeńców wojennych w Rosji Sowieckiej, którzy stanowić mogą zalążek nowej odrodzonej armii niemieckiej.

Według korespondenta „New York Herald Tribune" Edvina Hartricha niemieccy jeńcy wojenni w Rosji organizowani są przez tak zwany komitet „Wolnych Niemiec". Działalność tę prowadzą przede wszystkim gen. por. Walter von Seydlitz, typowy junker niemiecki, oraz gen. mjr. Otto Korfes, były profesor uniwersytetu w Goetyndze. Ruch „Wolnych Niemiec" — jak wiadomo — utworzony został w Rosji przy udziale wyższych dowódców rozbitej pod Stalingradem VI armii feldmarszałka von Paulusa. Wówczas powołany został do życia wspomniany wyżej komitet, którego zadaniem było stworzenie wśród jeńców niemieckich jednolitego ruchu politycznego i szerzenie propagandy na rzecz współpracy niemiecko-rosyjskiej. Paulus mieszka obecnie w wygodnej willi pod Moskwą, którą otrzymał do dyspozycji od władz sowieckich.

Organizowanie zalążka nowej armii niemieckiej w Rosji robione jest pod pokrywką organizacji kombatanckiej wzorowanej — jak pisze Hartrich — na dawnym „Stahlhelmie". Znaczna ilość niemieckich jeńców wojennych przychylnych komitetowi „Wolnych Niemiec" skupiona jest w obozie jenieckim pod nazwą „Stalingrad". Panują w nim dobre warunki. Jeńcy korzystają ze szczególnej opieki lekarskiej. Na służbie otrzymują specjalną odzież zimową, środki przeciw-odmrożeniowe i dostosowane racje żywnościowe. W ogóle racje te bywają pod względem ilości i jakości lepsze od otrzymywanych przez straże rosyjskie.

Niemieccy oficerowie mogli zatrzymać swoje dawne mundury ze wszystkimi odznakami. Wśród żołnierzy przestrzegana jest ścisła dyscyplina zewnętrzna wraz z oddawaniem honorów, a wypadki nieposłuszeństwa jeńców wobec swych niemieckich przełożonych są ostro karane przez rosyjskie władze obozowe. Oficerowie rosyjscy odnoszą się z wielkim koleżeństwem do jeńców oficerów niemieckich.

Rosjanie unikają szerzenia bezpośrednio propagandy komunistycznej w szeregach jeńców, co — jak podaje autor korespondencji — skłoniło nawet dawnych antykomunistycznie nastrojonych kapelanów wojskowych do przystąpienia do Komitetu „Wolnych Niemiec". Rosjanie propagują natomiast wyraźnie ideę utworzenia silnie scentralizowanych Niemiec, tak przyjaźnie usposobionych do Rosji, jak obecne władze warszawskie — pisze Hartrich.

W innych obozach jeńców niemieckich delegaci komitetu „Wolnych Niemiec" rozwijają działalność na rzecz zjednywania nowych zwolenników tego ruchu. Dotychczas pozostaje w Rosji Sowieckiej kilka milionów niemieckich jeńców wojennych, oficerów i szeregowych. Na razie nie można podobno ująć w ścisłych liczbach wyników tej działalności. Wiadomo natomiast, że tego rodzaju propagandę Rosjanie przenoszą obecnie również na obszary okupowanych Niemiec przez Rosję, a nawet do innych stref okupacyjnych.

Rosjanie mianowicie zwalniają wypróbowanych zwolenników „Komitetu Wolnych Niemiec" z obozów i kierują na obszary okupacji rosyjskiej, powierzając im nawet poważne stanowiska w tamtejszym zarządzie wojskowym: Tak np. były członek sztabu Paulusa płk. Steidel został mianowany zastępcą szefa Centralnego Zarządu Rolnego w Berlinie. Tacy sami byli jeńcy wojenni po zwolnieniu przenikają do anglosaskich i innych stref okupacyjnych, krzewiąc ideę, że przyszłość Niemiec zależy od szczerej współpracy z Rosją Sowiecką.

W ten sposób — pisze korespondent — utrzymuje się ducha wojskowego wśród jeńców niemieckich, którzy kiedyś powrócą do Niemiec i urabia się też tam odpowiedni grunt. A tymczasem oficjalnie głosi się, że Niemcy na podstawie porozumienia „wielkiej czwórki" mają zostać zdemilitaryzowane.

JEDWAB DO POLSKI
Odcinek jedwabiu spadochronowego wystarczający na uszycie 2-ch bluzek lub 2-ch kombinacyj kobiecych (wysyłka listami poleconymi)
Cena L 1. 10. 0.
FEDERATED SUPPLIES
(dawniej G. Bucknill & Co)
14 York Street — London W. 1.

Z HUMORU FRANCUSKIEGO

— Ach, gdyby Polacy kochali swój kraj tak, jak ja go kocham („Carrefour")

Cyklotrony i polityka zagraniczna

(Korespondencja specjalna „Orła Białego")

Nowy Jork, w lutym

Czy Rosja będzie kiedyś miała własne bomby atomowe? A jeśli tak, to kiedy? Pytania te zadaje sobie Ameryka niemal ciągle. Wielu dobrze zwykle poinformowanych ludzi przypuszcza nawet, że pewna chwiejność w polityce zagranicznej Rosji w ostatnich miesiącach tłumaczy się, jeśli nie wyłącznie, to w każdym razie głównie powodzeniami i niepowodzeniami Rosji „na froncie atomowym". Nikt nie wątpi, że uczeni rosyjscy oraz uczeni niemieccy w Rosji gorączkowo pracują nad bombą atomową. Wszystkim też wiadomo, że sekretów w tej dziedzinie jest właściwie bardzo niewiele, i że chodzi nie tyle o sekrety, ile o techniczne możliwości wybudowania w Rosji fabryk, które mogłyby produkować atomowe bomby. Czasami, jak utrzymują znający się na rzeczy Amerykanie, Rosjanom coś się udaje, i wówczas ton ich przemówień w Lake Success staje się ostry i nieprzejednany. Po pewnym czasie się okazuje, że ich uczeni trochę się pomylili, i wtedy pociągnięcia rosyjskiej polityki zagranicznej wyglądają tak, jakby Rosja istotnie chciała dogadać się z Ameryką.

Na pytanie, czy i kiedy Rosja będzie miała atomowe bomby, nikt naturalnie odpowiedzieć nie może. Ale w ostatnich miesiącach różne pisma amerykańskie zamieściły artykuły, wykazujące, że Stany Zjednoczone są dosyć dobrze poinformowane o tym, co się dzieje w Rosji „na froncie atomowym". Należy też przypuszczać, że wiadomości, przedostające się do prasy, są tylko małą częścią informacji, jakie Ameryka w tej sprawie posiada.

LABORATORIA NA KAUKAZIE

Przypatrzmy się informacjom prasowym, jedynie dla nas dostępnym. Zebrane są z różnych pism, o których powiedzieć można ogólnie tylko tyle, że są to pisma poważne, nie goniące za tanią sensacją, i przeznaczone dla rozwiniętego, inteligentnego czytelnika.

Zacznijmy od laboratoriów atomowych. Pierwsze takie laboratoria wybudowano w sierpniu roku 1945 na Kaukazie, w pobliżu góry Alagez, która się wznosi niedaleko miejscowości Soczi. W Soczi, jak wiadomo, bywa często Stalin. Stalin podobno sam kierował budową tych laboratoriów i potem często je zwiedzał. **Powiedział to zresztą sam b. Ambasadorowi Stanów Zjednoczonych Harrimanowi,** kiedy ten ostatni odwiedził go w Soczi w październiku 1945 roku.

W laboratoriach na Kaukazie pracują obecnie, oprócz uczonych rosyjskich, dwie grupy specjalistów niemieckich. Na czele pierwszej grupy stoją: prof. Max Steinbeck, dr Gustaw Hertz i prof. Fritz Vollmer. Wszyscy trzej pracowali poprzednio nad bombą atomową w Niemczech, ale, według oceny uczonych amerykańskich, byli przy końcu wojny, bardzo, bardzo daleko od mety. Druga niemiecka grupa pracuje pod kierownictwem prof. Manfreda von Ardenne, dr Karla Bernharda i dr Kurta Mie. Grupa ta buduje w danej chwili cyklotron. Amerykańscy specjaliści twierdzą, że na początku wojny Rosja miała tylko dwa małe i źle pracujące cyklotrony.

Poza tymi laboratoriami na Kaukazie, Rosja posiada duże ośrodki atomowe na Syberii (jeden w pobliżu miasta Bijska, drugi w pobliżu Czyty) Tu jednak uczeni amerykańscy podkreślają, że ani na Kaukazie ani na Syberii Rosjanie nie zbudowali dotychczas nic takiego, co przypominałoby choć trochę Oak Ridge, amerykańskie miasto, gdzie się produkuje bomby. I, co ważniejsza, **że nie będą prawdopodobnie mogli nic takiego zbudować z powodu braku dostatecznej energii elektrycznej.**

Co umożliwiło produkcję bomb atomowych w Stanach Zjednoczonych? Wszyscy specjaliści zgodnie twierdzą, że Ameryka nigdy nie miałaby tych bomb, jeśliby nie istniała TVA, wybudowana na kilka lat przed wojną. Trzeba więc powiedzieć kilka słów o TVA, zwłaszcza, że w Europie mało się o tem mówi i pisze.

TVA (Tennessee Valley Authority) budowano przeszło dziesięć lat. Jest to szereg tam na rzece Tennessee, produkujących energię elektryczną. Już w roku 1944 TVA dawała **bilion** kilowat-godzin miesięcznie, prawie połowę całej energii elektrycznej Stanów Zjednoczonych w latach przedwojennych. Obecnie daje więcej. O TVA można napisać — i już napisano — całe tomy. W ramach tego artykułu wystarczy stwierdzenie, że największe fabryki wojenne korzystały z tej właśnie energii elektrycznej, i że np. przeszło połowę aluminium, niezbędnego dla wyrobu samolotów, wyprodukowano w Ameryce podczas wojny tylko dzięki TVA.

Dla zbudowania bomby atomowej potrzebna jest przede wszystkim elektryczność, i to w kolosalnych ilościach. Bez niej nie można „bombardować" uranu, z którego się te bomby robi. Amerykanie utrzymują, że jedynym urządzeniem, który mógłby kiedyś dać Rosji potrzebną ilość i jakość energii elektrycznej, jest Dnieprostroj. Ale Dnieprostroj nie został jeszcze całkowicie odbudowany. I według obliczeń amerykańskich nie będzie odbudowany prędzej niż za rok albo za półtora. Jednak nawet wówczas Dnieprostroj — przedwojenny Dnieprostroj — będzie za słaby. Trzebaby go dopiero rozbudować, bo TVA, według jednych pism amerykańskich, **przewyższa przedwojenny Dnieprostroj siedmiokrotnie, według innych nawet dwunastokrotnie.**

„METEORY" NAD SKANDYNAWIĄ NIE SĄ ZAGADKĄ

Rosja zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i wie, że nie zdoła zbudować rosyjskiego Oak Ridge w ciągu bardzo wielu lat. Dlatego też uczeni rosyjscy szukają innych, technicznie łatwiejszych sposobów rozkładania atomów. Usiłują oni przede wszystkim wydobyć energię atomową z promieni kosmicznych. Specjalistą w tej dziedzinie, i to specjalistą o wszechświatowej sławie, jest prof. Kapica. Ale nad tymi zagadnieniami pracowało i pracuje bardzo wielu uczonych w Ameryce i przeważa opinia, iż jest to rzecz beznadziejna, w każdym razie beznadziejna w ciągu najbliższych **kilkunastu** lat. Kapica, jak wiadomo, jest obecnie w niełasce. Tłumaczyć się to może — i zapewne się tłumaczy — jego niepowodzeniami, w każdym razie zbyt powolnym tempem i brakiem dotykalnych wyników jego prac.

Tak więc, Rosja, jak sądzą Amerykanie, bomby atomowej nie tylko jeszcze nie posiada, ale i bardzo nieprędko będzie ją miała. Rosja liczy jednak na to, że prędzej czy później bombę taką zbuduje i obecnie pracuje już nad pociskami o napędzie rakietowym i o bardzo dalekim zasięgu, w których to pociskach jej przyszłe atomowe bomby mają być umieszczone. W tej dziedzinie Rosja zaszła już bardzo daleko. Pomogli jej znowu głównie Niemcy.

Wojska hitlerowskie nie bombardowały Rosji przy pomocy pocisków rakietowych. Raz tylko podczas wojny wypuszczono kilka raczej doświadczalnych „V. 2" na Leningrad. Wypuszczono je z Oranienbaumu, który znajduje się w odległości mniej więcej 60 kilometrów od Leningradu. Niemcy przy odwrocie nie zdążyli zniszczyć wyrzutni w Oranienbaumie i Rosjanie już w listopadzie 1944 r. mieli pewną ilość rakiet niemieckich. W roku 1945 zajęli oni Bornholm i Usedom (na Pomorzu), gdzie były niemieckie centrale pocisków rakietowych. Po ewakuacji Bornholmu okazało się, że Rosjanie wywieźli do Usedom wszystkie urządzenia techniczne z tej wyspy. **W Usedom znajduje się obecnie główny ośrodek rosyjski pocisków o napędzie rakietowym.** Stamtąd właśnie, jak twierdzą Amerykanie, specjaliści niemieccy pracujący pod kierownictwem rosyjskim, **wypuszczają pociski rakietowe w kierunku Szpitzbergu.** Odległość między Usedom i Szpitzbergiem wynosi około półtora tysiąca mil angielskich. Pisma amerykańskie zwracają uwagę, że jest to odległość, odpowiadająca odległości między wyspami brytyjskimi i lasami Białej Rusi i Litwy.

W pobliżu Szpitzbergu znajduje się obecnie poważna ilość statków rosyjskich (baza ich jest w Murmańsku), których zadaniem są badania, jaką drogą i jak daleko te pociski lecą. Przelatują one po drodze nad Szwecją, ale technicy amerykańscy utrzymują, że gdyby tam nawet upadły, żadnej szkody wyrządzić nie mogą, ponieważ nie posiadają materiału wybuchowego, a tylko napęd rakietowy.

Rosjanie mają też nadzieję, że w przyszłości, kiedy zbudują własne bomby, możliwy będzie obstrzał z łodzi podwodnych. Już w kwietniu 1945 r. wojska rosyjskie znalazły w Szczecinie dwie prawie zupełnie gotowe niemieckie łodzie podwodne zupełnie nowego typu, noszącego nazwę „26". Łodzie te mają silniki Diesla i cały szereg innych ulepszeń, pozwalających im pozostać pod wodą w przeciągu wielu tygodni (ładowanie baterii elektrycznych odbywa się również pod wodą). Niemcy zbudowali ten nowy model dopiero przy samym końcu wojny. Gotowa była tylko jedna jedyna łódź nowego typu, która wpadła w ręce marynarki amerykańskiej. Ale w Szczecinie, w fabrykach „Vulkan Werke", były dokładne plany nowej łodzi. Rosja ma już teraz podobno kilka takich łodzi. W lecie zeszłego roku wywiad amerykański, jak piszą pisma, otrzymał wiadomości o tym, że **dwie takie łodzie były w pobliżu Norwegii, i że obie miały wyrzutnie dla bomb atomowych.**

Pisma amerykańskie dodają do tego wszystkiego, że Stany Zjednoczone też z pewnością posiadają wiele nowych wynalazków, może jeszcze lepsze łodzie podwodne, lepsze wyrzutnie — no i atomowe bomby. Ale o wynalazkach amerykańskich w Ameryce pisać naturalnie nie wolno. O t. m. co ma i czego nie ma Rosja, pisać można więcej.

Wacław Solski

Z HUMORU BELGIJSKIEGO

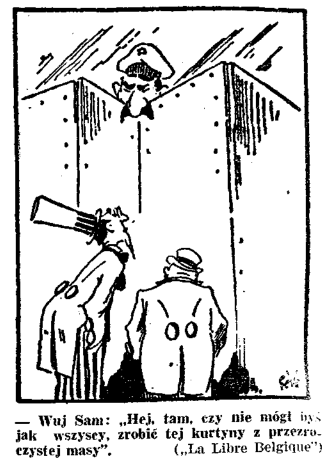

— Wuj Sam: „Hej, tam, czy nie mógł byś jak wszyscy, zrobić tej kurtyny z przezroczystej masy". („La Libre Belgique")

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Kryzys gospodarczy, który pod wpływem kilkutygodniowej zimy kontynentalnej na ogrzewanej zazwyczaj „golfstromem" wyspie zaskoczył Anglię, ma znaczenie nie tylko ekonomiczne, ale przede wszystkim moralne. Rozsadza łamy zwyczajnej kroniki, sięga do najgłębszych trzewi politycznego i społecznego życia Brytyjczyków. Należy rozbić temat na szereg obrazów.

GŁÓD WĘGLA W EUROPIE

W „Financial Times" z 20 lutego znajdujemy tabelkę przywiezionego węgla w listopadzie, kiedy to robi się zapasy na zimę, w 1946 i przed wojną, w tonach do następujących krajów:

Francja	733.457	37%	przedwojennych
Włochy	334.156	30%	„
Holandia	264.522	38%	„
Szwecja	318.356	49%	„
Belgia	156.029	30%	„
Dania	220.469	47%	„
Szwajcaria	131.311	48%	„
Norwegia	144.684	57%	„
Luksemburg	161.497	63%	„
Finlandia	54.513	38%	„
Czechosłowacja	15.066	11%	„
Portugalia	70.699	67%	„

Przed wojną sprowadzały kraje europejskie (bez Z. S. R. R.) miesięcznie około 6,8 milionów ton. W cyfrze tej uczestniczyły jako eksportery Niemcy w 40%, Zjednoczone Królestwo w 32%, a Polska w około 10%.

ZNACZENIE WĘGLA POLSKIEGO

Z końcem ub. roku stosunek przedstawiał się krańcowo odwrotnie. Polska uczestniczyła w dostawach miesięcznych dla krajów Europy kwotą 1,3 do 1,4 miliona ton, Niemcy kwotą 700 tysięcy ton, a Zjednoczone Królestwo niespełna 50 tys. ton. Resztę kryły Stany Zjednoczone.

Cyfry te nie dają jednak dostatecznego pojęcia o tężyźnie górnika polskiego. Przedwojenna produkcja obu naszych zagłębi węglowych wynosiła okrągło pięć milionów ton miesięcznie. W ciągu roku potrafili górnicy nasi podnieść produkcję z trzech milionów do czterech i pół miliona, a więc okrągło do 80% przedwojennej, mimo rabunkowej gospodarki w czasie wojny, zniszczeń wojennych i następnego rabunku.

Gdyby Polska była rzeczywiście krajem wolnym i nie musiała większości swego wywozu oddawać Sowietom, to Europa nie zaznałaby takiego katastrofalnego głodu węgla mimo zmniejszenia wywozu angielskiego i wolnego tempa odbudowy produkcji w Niemczech. Przy wywozie trzech milionów ton miesięcznie, kraj nasz miałby tyle walut obcych do dyspozycji, że mógłby nie żebrać o drobne kwoty jak na przykład 70 mil. dolarów na maszynowe uposażenie kopalń węgla, ale ze zrównoważonym bilansem handlowym zabiegać o kredyty na monumentalną odbudowę rolnictwa i przemysłu. Na tle tej statystyki wychodzi jasno cała potworność zabiegów o odebranie tym, którzy chcą pracować i pracować umieją, ich warsztatów pracy i głupota koncepcji wyłączenia Polski ze wspólnoty narodów europejskich. Jakżeż ta Europa bez Polski i dopływu polskich górników ma zaopatrzyć się w węgiel? Czy ma ona już nie tylko żywność, ale i opał na stałe pożyczać od Stanów i wozić przez Atlantyk?

Okazuje się jednak, że nie ma takiego absurdu, który by nie znalazł zwolenników w gabinetach dyplomatycznych i wśród tzw. ekspertów. Wszakże niedawno jeszcze słyszeliśmy zachwyty nad projektami bloku zachodniego bez Polski i bez całej Środkowej Europy, jedynej poważnej rezerwy żywnościowej naszego kontynentu.

GOSPODARKA BEZ REZERW

Dopiero po nastaniu mrozów, po zawianiu torów i pociągów śnieżycą okazało się, że przeciętne rezerwy węgla angielskich elektrowni-olbrzymów, gazowni, kolei, przemysłów itd. starczyły w przeciętnu na dni 10. Fakt ten był niesłychanem zaskoczeniem. Przywykliśmy na podstawie doświadczeń wieków uważać naszych gospodarzy za najostrożniejszych i najbardziej przewidujący naród świata. Ktokolwiek miał sposobność studiować bilanse banków lub wielkich spółek akcyjnych tych wysp, ten musiał stwierdzić, że bez względu na to, czy się to akcjonariuszom podoba, dyrekcja tworzy olbrzymie rezerwy na wszelkie możliwe ewentualności.

Powstaje pytanie czemu przeoczono konieczność dwóch zasadniczych rezerw każdego planu, każdej w ogóle gospodarki: rezerwy ludzkiej i rezerwy energii mechanicznej? Nawoływania do zwiększenia eksportu bez powiększania obu rezerw wygląda nie na planowanie gospodarcze, ale na zabieg propagandowy, albo spekulację na jakieś wyjątkowe, a niespodziewanie pomyślne okoliczności.

REAKCJA RZĄDU I SPOŁECZEŃSTWA

Reakcje rządu na kryzys węglowy były bardzo silne. Zabroniono użycia prądu elektrycznego od 9 do 13-tej i od 14 do 16. Wstrzymano druk tygodników (obecnie odwołano zarządzenie) jakby energia mechaniczna przy tym używana odgrywała jakąś rolę w całokształcie wydatków energii. Wezwano wojsko do pomocy w transportowaniu węgla i oczyszczaniu torów. Zapowiedziano poczynienie starań o 100 tys. robotników, których ma się zwerbować przede wszystkim spośród Polaków już będących w Anglii i Szkocji oraz spośród D. P. na kontynencie. W końcu co najważniejsze, dwoma urzędowymi publikacjami wtajemniczono społeczeństwo w dwa najważniejsze zagadnienia Zjednoczonego Królestwa, to jest czasowe zmniejszenie się liczby mężczyzn i kobiet, wstępujących rok rocznie na rynek pracy i trudności w zrównoważeniu bilansu płatniczego państwa.

Oba te tematy przerastają ramę kroniki i winny być przedmiotem osobnego sprawozdania. W ostatnich czasach, pod wpływem ograniczeń spożycia żywności i odzieży, pod wpływem niesłychanie wysokiego podatku dochodowego, pod wpływem jeżeli nie prawnej, to faktycznej trudności wyjazdów i tysięcy nakazów i zakazów obudził się wśród młodych Anglików pęd do Dominiów i Kolonii. Starsi więc rentierzy zakupują domy w Irlandii i opuszczają wyspę. Podobno 700 tysięcy ludzi przygotowuje się do wyjazdu. Tej luki nie zapełni 100 tysięcy sprowadzonych z kontynentu pracowników.

SPOŻYCIE I WYTWÓRCZOŚĆ

Na dnie kryzysu węglowego leży jeszcze inna ważna prawda. W pismach ukazało się cały szereg spostrzeżeń, które tłumaczą, dlaczego wydobycie węgla w Zjednoczonym Królestwie jest takie niskie (około 1000 kg. na głowę załogi). Tu niezawodnie najważniejszym czynnikiem małego wydobycia jest brak podniety gospodarczej.

Okazuje się, że w niektórych kopalniach opuszczanie szycht dochodzi do 25% załogi. Jeżeli górnik pracuje cały tydzień, to zarabia tyle, że już podpada „pod podatek". Jeżeli nawet trochę by więcej zarobił, to nie może zjeść więcej niż jego racja, albo kupić ubrania bez kuponów. W czasie przymusowej oszczędności wojennej odkładał drobne kwoty i zebrało się trochę tego kapitału (drobne oszczędności wynoszą w Zjednoczonym Królestwie 10 mil. funtów dziennie). Powiększać tych oszczędności nie ma celu, bo procent jest bardzo niski. A więc woli jeden lub dwa dni w tygodniu zostać w domu.

Gdyby wydobycie było nie 1000 ale 1200 kg. dziennie to w ogóle nie byłoby obecnego kryzysu.

Okazuje się, że nie sposób zwiększać wytwórczości nie zwiększając równocześnie spożycia. Kino i gra na pieskach same nie wystarczają.

REAKCJA GIEŁDY

Reakcja giełdy była: spadek konsolów o dwa punkty i znacznie jeszcze silniejszy spadek pierwszorzędnych akcji przemysłowych. Natomiast zwyżkowały i zdaje się dalej zwyżkować będą papiery dolarowe i dominialne, jak akcje złota i metali technicznych, które posiadają zakłady poza Zjednoczonym Królestwem.

KOMUNIKAT TOWARZYSTWA POMOCY POLAKOM

Biuro Informacyjne belgijskiego oddziału Towarzystwa Pomocy Polakom (R. S. F. P.) podaje do wiadomości, że w następujących lokalach można obejrzeć wykazy listów, które są do odebrania w Biurze Towarzystwa Pomocy Polakom w Brukseli: 24, av. de l'Yser w godzinach od 9 do 12½ i od 14 do 17:

1. W biurze TPP (RSFP) w Brukseli
2. W Radzie Polonii w Brukseli rue de Facqz 42 od 9 do 13.
3. W Polskiej Misji Wojskowej: 32, Bld. de Jardin Botanique od 9 do 12 i od 14 do 17.
4. W Stowarzyszeniu Bratniej Pomocy: rue Washerkindere 276, od 9 do 12 i od 14 do 17.

PRENUMERATA z przesyłką pocztową:

W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/, rocznie 25/. Należności za prenumeratę nadesłane czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD., 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1 Tam też należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.
W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60, Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. ... 785,066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres
WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480. Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOŃCO 80 Bd. de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris cc 571392 lub STE „LIBELLA" Librairie — 12, rue St. Louis en l'Ile — PARIS IV, nr. konta pocztowego Paris cc 565150.
W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1.50, kwartalnie 4.30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (manda. de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 36.
WE WŁOSZECH lir: miesięcznie 120, kwartalnie 360, rocznie 1440, Prenumeratę przyjmuje Casa Editrice „Lettere", ROMA, Caselle postale 424. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym, W SZWECJI koron: miesięcznie 2.50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 25/I, Stockholm.
OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma BERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez łam L. 1.—

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA

ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Schaerbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe, Reg. de Comm. No. 141562/41 — Bruxelles

Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A., 4", rue du Houblon, Bruxelles